





MAREK BRAND

K2

## DRAMAT

Postanowiłam napisać pamiętnik. Będę w nim zapisywać rzeczy, które mnie gnębią, z którymi chcę być sam na sam. Powinnam raczej napisać sama na sama. Postanowiłam napisać ten cholerny pamiętnik, bo ona kiedyś mnie zapyta: „Jak to właściwie z nami było? Jak naprawdę było ze mną? Na imię mam Klementyna. Kiedyś strasznie nie lubiłam tego imienia. Chyba przez koleżanki z podwórka, które przezywały mnie kle-kle. Skąd u licha moi rodzice wpadli na pomysł, żeby mnie tak nazwać. Raz zapytałam się mamy, po kim mam to imię, bo przecież w rodzinie nie było nikogo takiego. Mama zmieszła się i powiedziała: „A wiosną kupimy ci rower”. Z radości nie wypytywałam dalej. Jednak wkrótce zaczęłam podejrzewać, że nadano mi imię ku czci wuja Klemensa. Wuj

Klemens to chluba naszej rodziny, właściwie to nie wiem, co wuj zrobił takiego ważnego, nawet nie wiem kim był, ale wszyscy mówią o nim z szacunkiem. „Klemens by tak nie zrobił”, „Klemens by im pokazał”, „Klemens to by wiedział”. Więc musiał być kimś ważnym. Jednak świadomość, że mam imię po mężczyźnie bardzo mnie irytowała. Postanowiłam nie reagować na moje imię, ale po dwóch dniach poddałam się i wywiesiłam białą flagę. W sumie mogłoby być gorzej. Właściwie, to jak do tej pory wszystko układało mi się dobrze. Zaraz po maturze dostałam się na studia, a na trzecim roku zaczęłam pracować. Właśnie w pracy poznałam Klarę. Kiedy ją pierwszy raz zobaczyłem pomyślałam, że jest tak beznadziejna, że poproszę szefa o przeniesienie w teren. I wtedy właśnie zapytała – Lubisz jeździć sto czterdzieści na godzinę, motocyklem przez miasto?

– Nie lubię.

– Ja też i to nas właśnie łączy.

Niespełna dwa lata naszej przyjaźni opisuję właśnie w tym pamiętniku.

*21 maja*

Poszłam na uczelnię przenieść się na zaoczne. Weszłam i poczułam się bardzo nie swojo. Ogarnęło mnie uczucie przygnębienia. Miałam wrażenie, że to ponure gmaszysko chce mnie zjeść. Nic takiego nie czułam, kiedy zdawałam egzaminy na wydział dzienny. Klara powiedziała, że to przez podniecenie jakie towarzyszyło mi podczas egzaminu. I że według naukowców takie podniecenie porównywalne jest do podniecenia seksualnego. I, że ona się z tym zgadza.

*17 lipca*

Pojechaliśmy z Klarą na zakupy. Właściwie to wcale nie chciałam jechać do żadnych hipermarketów. Chciałam trochę odpocząć. W końcu sobota zdarza się raz w tygodniu. Obiecałam sobie, że porządnie się wyśpię, ale w piątek wieczorem przyszła Klara.

– Cześć Klemens - zaczęła jak zwykle.



Tomasz Młynarczyk

- Nie mów do mnie Klemens.
  - Przepraszam. Co robisz jutro?
  - Odpoczywam.
  - To się doskonale składa, bo mam wspaniałą propozycję.
  - To znaczy - zapytałam ostrożnie, bo, znając Klarę, wiem, że potrafi wymyślić lot na księżyc.
  - Aktywny odpoczynek, taki intermedialny.
  - Ale konkretnie?
  - Pojedźmy na szałowe zakupy.
  - Wiesz, Klaro, chciałam jutro posiedzieć trochę w domu. Wyspać się, poczytać. Mam kilka książek do przeczytania, sesja na karku. Jednak wszystkie moje argumenty Klara skwitowała krótką wypowiedzią:
  - No wiesz, Klemens, przestań się zachowywać, jak stara kapryśna baba. Jest mi przykro, że robisz takie rzeczy swojej najlepszej przyjaciółce. Tylko dlatego, że mam parę kilo nadwagi, to już nie mam prawa nigdzie chodzić, co ja ci takiego zrobiłam, że chcesz mnie tak zranić. Czy ty wiesz, na co narażona jest osoba, która sama wybiera się do supermarketu? A jak chciałaś pojechać do Paryża, obejrzeć jakiś tam Luwr, czy coś takiego to oczywiście Klara nie odmówiła. Żeby przerwać tą litanię - zapytałam tylko - O której godzinie?
  - O dziewiątej rano.
  - Klara, to jest środek nocy.
  - Im szybciej tam pojedziemy, tym szybciej wrócimy.
- Tłok, kilka tysięcy kilometrów w nogach, wygrana walka o wózek na zakupy i dwie pary majtek, to bilans naprawdę wielkich zakupów. - Wiesz, Klementyno - powiedziała Klara, kiedy spojrzałam na nią jak na zepsutą galaretę - to nic, że zakupy marne, ale spędziłyśmy razem trochę czasu. Rzeczywiście tylko pięć godzin nas nie było. Straciłam tyle energii, że o ósmej wieczorem spałam jak niemowlę. Powinnam była jednak wtedy zwrócić uwagę na ten drobny szczegół... Po raz pierwszy Klara powiedziała - Klementyno - a nie Klemensie, albo Klem. Gdybym wówczas na to zwróciła uwagę...

*14 sierpnia*

Poszliśmy z Klarą do kina. Niby komedia a Klara wyszła z filmu zaryczana.

- Czego beczysz? - spytałam.
  - Bo ja też bym tak chciała.
  - O co ci chodzi?
  - Jak oni się kochali i nic im nie było w stanie zniszczyć miłości. Dom się rozwał, mieli długi, nawet jak on usiadł na jeżu, to taka wielka miłość między nimi była. Ja też bym chciała.
  - Usiąść na jeżu?
  - Niechby nawet, ale za taką miłość. Popatrz na nas. Dwie samotne baby siedzą w kawiarni i mają tylko siebie. A gdzie ci mężczyźni - powiedziała i zamówiła szóstą napoleonkę.
  - A, kelner?
  - Co, kelner?
  - Popatrz jaki przystojny.
  - Pewnie ma jakąś dziewczynę.
  - A może nie ma.
  - A widziałaś przystojnego kelnera bez dziewczyny?
- Zamknęłam się, bo rzeczywiście nie widziałam.

*25 września*

- Klara uważa, że za parę lat będą sprzedawać substancje genetyczne na różne przypadłości. - Genetyka rozwija się nadzwyczaj szybko - powiedziała - zobaczysz, za parę lat wszystko będzie można kupić w aptece. Nawet pastylki na miłość. To tylko kwestia czasu. A wtedy nie będziemy musiały zabiegać o względy mężczyzn. Miłość to chemia.
- Dlaczego tak uważasz?
  - Tak napisał pewien profesor.
  - Gdzie napisał?
  - W czasopiśmie naukowym. Napisał: „genetyka poradzi sobie z większością naszych problemów”. Klara ma tendencję do przesady. Zresztą, zawsze taka była. A ja muszę zaliczyć biologię. Może Klara ma rację z tymi chłopakami. Miłość. Co to jest ta prawdziwa miłość. Właściwie to czym jest - a nie co to jest. Czy to ważne, przecież i tak nikt nie przeczyta tego pamiętnika oprócz mnie. Podoba mi się wykładowca z chemii. Jest taki przystojny. Jak zwrócić jego uwagę? Wiem....

*3 października*

Idiotka. Na co ja liczyłam. Ubrałam się jak napalona laska. Siadłam w pierwszym rzędzie i wpatrywałam się w niego cały



- czas. Nawet raz puściłam do niego oko. A on nic. Może niedowidzi biedaczek. Albo to taka męska gra. Już oni to potrafią. Żeby zdobyć dziewczynę udają, że niby jej nie zauważają. Pod koniec wykładu zaświeciło słońce. Spojrzał na mnie. Jezu! Zauważył mnie. Nawet się uśmiechnął. Może zaprosi mnie na kolację. Przy świecach, albo w jakim ekskluzywnym lokalu, bez bilardu i automatów do gry. Kiedy wykład się skończył, jak mogłam przedłużałam moment wyjścia. On też. W końcu ruszył w moim kierunku. Stanął obok mnie i spytał patrząc trochę w bok.
- Widzę, że bardzo interesuje się Pani chemią. Zrobiłam się czerwona, spuściłam wzrok i nic nie powiedziałam. Widziałam, że będzie dalszy ciąg.
  - Gdyby pani zechciała, to mogę bardziej przybliżyć problem polimerów złożonych, o których dziś mówiłem
- Niezły bajer, pomyślałam. Na polimery nikt mnie jeszcze nie podrywał.
- Jeżeli to nie sprawi panu problemu – usłyszałam głos za mną - będę bardzo zobowiązana. Za mną siedziała laska, która chodziła do nas jako wolny słuchacz.
  - To zapraszam na kawę. A pani też chce się dowiedzieć o polimerach? - Ostatnie pytanie było do mnie
  - Już wiem wszystko. Wysłałam nawet nie oglądając się za siebie.
  - I bardzo dobrze - powiedziała Klara - Po co ci taki stary dziad.
  - Ale on ma dopiero trzydzieści pięć lat.
  - Przejdzie mu.

#### 15 listopada

- Byłyśmy z Klarą na koncercie. – Super było - powiedziałam do Klary.
- Skoro się dobrze bawiłaś.
  - A ty się bawiłaś źle?
  - Jak dla mnie było za głośno i zbyt dużo krzyków na widowni. Brak linii melodycznej, a i do wokalne strony można mieć sporo uwag.
  - Klaro to był koncert rockowy.
  - Muzyka to muzyka. Tam nie było uniesienia.
  - Tak uważasz?
  - Tak.
  - To po cholere poszłaś ze mną na ten koncert. Przecież wiesz, co to jest rock.
  - Teraz wiem.
  - Czekał, to ty wcześniej nie byłaś na żadnym

koncercie?

- Jeżeli nie liczyć Vivaldiego w filharmonii to nigdy.
- Czy ja znam Klarę? Co ja o niej wiem?
- Wszystko czy nic? Przecież spotykamy się prawie każdego dnia. No może co dwa, albo trzy dni. Kim ona jest? Co ona robi wieczorami, kiedy jest sama?

#### 22 grudnia

- Wigilia i prezenty. Bardzo lubię Wigilię. Jest okazja do spotkania z całą rozległą rodziną. Kiedyś zwierzyłam się Klarze, że chciałyby namalować ich wszystkich.
- To znaczy kogo? - zapytała.
  - Mamę, brata, ciotkę Wandę z wujkiem Anzelmem, kuzynkę Lizę, wujka Staszka z ciotką Stefą, Krzysztofa z Olą i malutkim Piotrusiem, panią Basię i kota Partacza.
  - Aż tyle? - powiedział Klara z niedowierzaniem.
  - Tak. Jak byłam młodsza nie cierpiałam Wigilii, każdy miał jakąś uwagę, a to, że sukienka zbyt krótka, a to, że nie wolno się garbić i te pytania, a co w szkole? a gdzie jedziesz na wakacje, gdzie będziesz studiować. Raz wujek Anzelm jedząc rybę zapytał – A ile ty masz lat dziecko?
  - Szesnaście - odpowiedziałam.
  - No, to jak za dwa lata pójdziesz do wojska, to cała rodzina przyjedzie na przysięgę - powiedział wujek przegryzając śledziem.
  - Cudownie mieć taką rodzinę i tyle naczyń do zmywania? - powiedziała rozmarzona Klara.

#### 31 grudnia/1 stycznia

- Sylwester. Miał być super. Milenium, kurwa mać. Wszyscy dostali jakiegoś szalu. Kiecki, fryzury, wycieczki noworoczne na Bora-Bora.
- Wiesz, powiedziała Klara - może wykupmy taką wycieczkę, dookoła sylwestra. Odrzutowiec będzie nas dostarczał w różne strefy czasowe i tam będziemy mogły zawsze witać Nowy Rok. Chociaż tej jednej nocy mogłybyśmy zatrzymać czas.
  - Ciekawe ile coś takiego kosztuje?
  - Poczekaj - powiedziała Klara wykręcając numer - Halo biuro podróży? Chciałabym się dowiedzieć, czy można u was wynająć odrzutowiec na całą noc? Dlaczego? A co





📷 Joanna Bukowska

jej jest? I nie ma kogoś, kto mógłby być w zamian? Dziękuję. Niestety nie polecimy. Żona pilota rodzi. Patrz, Klementyno, raz w życiu chciałam zaszaleć i co? Cięża rodzinna staje mi na drodze. A gdzie ten kapitalizm. Płacisz i nie możesz lecieć.

- Przecież nie stać nas na to?
- Ale oni o tym nie wiedzą.
- Sylwestra spędziłyśmy w wieżowcu na siódmym piętrze.
- Fajny ten nasz nowy kolega z pracy - powiedziała Klara - I leci na Ciebie.
- Skąd wiesz?
- Powiedział mi, kiedy się ze mną całował.
- Ja mu się podobam, a ciebie całował?
- Powiedział, że jest nieśmiały i boi się zaproponować.
- Dupek!
- Dupek!

*11 lutego*

- Dostałam od Klary sztalugę.
- To na urodziny.
- Mam dopiero w lipcu

- No to co?
- Ale dlaczego sztaluga?
- Chciałaś namalować rodzinę.
- Ja nie umiem malować.
- A kto umie? Najważniejsze, że masz sztalugę. Farby dostaniesz na imieniny.
- A pędzle?
- Nie można bez pędzli? W ostateczności możesz jej używać jako element dekoracyjny, albo suszyć ręczniki. A wiesz co to jest k2.
- Szczyt w Himalajach.
- Nie głuptasie, to my, Klara i Klementyna. Czasami Klara zaskakuje nawet mnie.

*14 marca*

- Przeglądając kolorowe pismo przeczytałam artykuł o szczęściu. Jakaś znana dziunia opisywała swoje życie. Że jest ustawiona z kasą, że ma fajną rodzinę, że może polecieć na Majorkę albo Wyspy Pingwinie. I jest taka szczęśliwa. Zadzwoiłam do Klary.
- Jakie masz marzenia?
- Nie wiem? To znaczy wiem. Jak każdy.



📷 Dariusz Hankiewicz

- A jakie ma każdy?
- Być szczęśliwym.
- Co to znaczy?
- Wszystko.
- Konkretnie.
- Kochać mocno, żyć pięknie i umrzeć spokojnie.
- A polecieć na Wyspy Pingwinie?
- Nie.
- To gdzie?
- Do Śmiechowa.

26 czerwca

Nie pisałam długo, bo zajęcia i takie tam różne sprawy. Spotykam się od pewnego czasu z miłym chłopakiem. Powiedziałam o tym Klarze.

- Jak ma na imię? - spytała.
- Artur.
- Królewskie imię. Jest dobry dla ciebie?
- Tak.
- Ma być dobry!

- Jest dobry.
- Wiesz, Klemens, chciałabym wyjechać na wieś. Na parę dni. Jestem zmęczona.
- Dokąd?
- Może do Śmiechowa.
- Kiedy?
- Jak będziesz gotowa.

4 lipca

Zadzwoiła Klara. Płakała. Pojechałam do niej. Przez dwie godziny nie mogłam nawiązać z nią kontaktu. Myślałam że to atak żółtej febry, tylko gdzie by się mogła zarazić. W końcu powiedziała.

- Jaka ja jestem nieszczęśliwa.
- Co znowu?
- Zakochałam się.
- To dobrze.
- Gówno tam, dobrze.
- Jak ma być dobrze, skoro on na mnie nie zwraca uwagi Bydlę, ostatnie ścierwo. On też jest ostatnie ścierwo
- Kto?
- Zimny, wyrafinowany drań. Wszyscy oni to szowinistyczne męskie świnię. Sama nie wiem kto jeszcze?
- Kto?
- Łajna szalonego kojota, padlina na stepie, Sępy żywiące się ciałami pionierów, zdechłe żaby.
- Przestań krzyczeć i się zapowietrzać, i przestań cytować Karola Maya. Weź głęboki oddech. No, to teraz mów.
- Wiesz, że mam sąsiada?
- Wiem, taki przystojniak, nawet niezły.
- Dwa miesiące tu mieszka. Dwa dni temu zapytał mnie na schodach, czy nie zechciałabym pójść z nim na kolację.
- Nie pochwaliłaś się?
- Nie chciałam zapeszyć. Więc ten podchodzi i mówi, że na kolację. Pytam gdzie? On, że u „Majora”.
- Facet musi być przy szmalu. Słyszałem, że u „Majora” frytki kosztują dwie dychy. - Wiesz jak się poczułam. Świece, kelnerzy, owoce morza, kwiaty na stole, Patrzyliśmy sobie w oczy... Potem na długi romantyczny spacer. On tak romantycznie mówił, o ślubie, o gościach o podróży poślubnej.. wiesz co faceci mówią w takich sytuacjach? - „Welon będzie długi na 20 metrów, orszak i szpaler złożony z oficerów marynarki, dorożka, przyjęcie na 300 osób”.
- Jakbyś przy tym była. - Ale dlaczego on jest

świnia. Zaprosił cię na kolację. Poszedł z tobą na spacer, mówił o dzieciach, ślubie a potem odprowadził do domu.

- Szliśmy przez park i on spytał: Czy uważasz, że jestem przystojnym facetem? No jasne, że jesteś, powiedziałam. A on - a czy mogłabyś umówić mnie z twoją koleżanką - Tą co tu do ciebie przychodzi? Ona bardzo mi się podoba, ale nie wiem jak się z nią umówić. I potem przez dwie godziny wypytywał mnie o ciebie. Zadzwoń, zapytaj czy umówiłam go z tobą. Co mam mu powiedzieć?
- Niech spieprza.
- Dlaczego, taki przystojny
- To dupek. Głupi dupek.

### 23 sierpnia

- Klara chcesz jeszcze jechać do Śmiechowa? - Tak.
- Pojedziemy w sobotę.
- Z Arturem?
- Bez.
- W soboty też pracuje?
- Nie wiem.
- Jak to nie wiesz?
- Zerwaliśmy.
- Przestał być dobry?
- Przestał.

### 26 sierpnia

Śmiechów, jakie to cudowne miejsce. Tutaj czas jakby się zatrzymał. Całe przedpołudnie Klara próbowała zaprzyjaźnić się ze stadem kaczek. Miejscowi bardzo się dziwili. Dorosła kobieta na czworakach. Koniecznie trzeba kupić Klarze, jakąś bluzkę bez pleców. Może to ją zmobilizuje, żeby zrzuciła parę kilogramów. No i absolutnie nie zgodzę się na czekoladę. Klara zawsze opycha się czekoladą, a potem ma zgagę. Najlepszy jest wtedy sok z żurawiny, albo herbatka miętowa. Jakie to wszystko dziwne. Klara powiedziała, że w Śmiechowie odzyskała równowagę psychiczną. Ja twierdząc, że pełnia szczęścia nastąpi, gdy tylko odzyskamy stracony bagaż, który Klara naładła do Koszalina. Kiedy zapytałam ją:

- Klar! Gdzie, u diabła, są nasze bagaże?
- W pociągu do Koszalina - odpowiedziała.
- Dlaczego do Koszalina? - Bo też na K - odparła nieprzytomnie. Zaczęłam podejrzewać, że Klara zaangażowała się

uczuciowo. Po dwóch godzinach podróży oświadczyła.

- Gertrudo, zakochałam się w Albinie.
- Kim u licha jest Albin?
- To najśladzszy konduktor na świecie - pisnęła. I rzeczywiście. Klara co dwie minuty latała do Konduktora podtykając mu bilety do sprawdzenia. Doszło do tego, że biedny Albin zabarykadował się w WC. Musiałam Klarze wytłumaczyć, że Albin jest na służbie i musi sprawdzić bilety pozostałym pasażerom.
- Nienawidzę innych pasażerów - powiedziała. Przez całą drogę ze Śmiechowa milczała i zeżarła trzy tabliczki czekolady.

### 26 września

Znowu kolejny bezsensowny romans.

- Klementyno, czy ty aby nie za dużo wymagasz od mężczyzn. Co ci się nie podobało w Jacku? Tylko dlatego, że nie wiedział, kto to jest Dostojewski, to już musiałaś z nim zerwać?
- Dostojewskiego może bym mu wybaczyła, ale tego, że nie wiedział nic o Mikim, nie mogę.
- O kim? Jakim Mikim? To jakiś muzyk?
- Myszka Miki.
- Aha, no to fakt, głupio nie wiedzieć - powiedziała jakoś nieszczerze Klara.

### 14 listopada

Klara irytuje mnie coraz bardziej. Cały czas wpatruje się w Albina jak ciele w malowane wrota. Cały czas albo się miedlą, albo dziubdziają. Zaczyna mu matkować - „Albinku, a może konfitur? Załóż pulower, bo chłodno na werandzie. Zaparzyłam Ci kochanie herbatki malinowej”. Patrę na





nią i nie wierzę, że była kiedyś wulkanem szalonych pomysłów. Klara coraz bardziej przypomina kociół z grochówką... Mam depresję. Zaczęłam malować.

*18 grudnia*

Stało się. Klara wyjechała z Albinem do Nałęczowa. W jego rodzinne strony. Przed wyjazdem odbyły się zaręczyny. Klara zżarła sześć czekolad.

- To ze szczęścia, Klementyno - powiedziała, kiedy znalazłam ją pod stołem. A potem zapytała:
- Będziesz świadkiem na moim ślubie?
- Kiedy?
- W marcu. - Będę - Super, Bądź w tej w tej sukience, którą założyłaś kiedyś dla chemika. - Dobrze.

*24 stycznia*

Pusto. Jak tu jest cholernie pusto.

Zwariowałabym gdyby nie telefon od Klary.

- Co słychać?
- Fizyk mi się podoba.
- Przecież ty nie masz fizyki na studiach
- Wybrałam sobie drugi fakultet, chodzę jako wolny słuchacz.

- Malujesz?
- Nie.
- To zacznij.
- Dlaczego?
- Dlatego.
- Nie umiem.
- Nie szkodzi.

*16 lutego*

Na trzy tygodnie przed ślubem Klara zmarła.

Tak zwyczajnie. Jak to w jej stylu. Nic nikomu nie powiedziała. Lekarze orzekli, że to atak serca. Ale ja swoje wiem. Chodzisz sobie pewnie teraz po rajcu i dziwisz się wszystkiemu. No i oczywiście jesz swoją ulubioną czekoladę z orzechami. Co ja mówię, jesz. Obżerasz się, zżerasz dwie albo trzy niebiańskie tabliczki dziennie i masz wszystko gdzieś. Mnie, ten świat, sztalugę, odrzutowiec, a nawet chemika. Nigdy ci tego nie wybaczę, nigdy. Jeszcze cię dorwę. Jak mogłaś zrobić to Albinowi, jak mogłaś mi to zrobić? Jak mogłaś mnie tu zostawić? Jak? Słyszysz, ty suko!?

- Słyszę, słyszę nie jestem głucha.





PAWEŁ KOSIOREK

### \*\*\* **mojego kota nie lubią**

1. mojego kota nie lubią w okolicy  
 obija barkami o szklistość powietrza  
 wprawiając w ruch tkanki pustych pomieszczeń  
 tak bardzo wsiąknięch w dusze  
 ludzi metalowych powiek

2a. pamiętaj emilly  
 barwa źrenic zmienia się w zależności  
 od tego ile osób przy tobie umarło  
 trwałość tchu i kruchość stóp wystarczy  
 byś bladą ręką odepchnęła stare życie  
 a głowa odpadnie lalce w puste studnie  
 byś na suchej skórze odgadła że nie ma wody

2b. boję się zasnąć emilly  
 z czarnymi oczami wtulona w polskie koce  
 gdy zapaloną świecę atakują ćmy  
 jak tęczowa zmory w te same daty  
 przychodzą bym nie zapomniała  
 jak mocno potrafią drzeć dłonie.

### **Krajobraz poranny**

Pierwsze, co widzę to cienie mebli,  
 później wiem, że mam ręce  
 głowę i nogi. A włosy  
 otulają krtań, napierają na mózg.

i  
 ja

mrużę powiekami jak jaszczurka  
 - pełzam z lepkiem językiem  
 wyczuwam kształty, zamykam okna  
 jak obrazy.

zawieszony między ścianami  
 między miejscami gdzie na  
 każdego czeka życie.

i tam

ludzie gapią się jakby  
 byli światem.  
 świat rośnie.  
 świat bardzo kocha marginesy. świat kocha  
 rzeczy wyrzucane ponad brzegi.

### **Koziorożce tańczą na księżycu**

nie wydrapią nas  
 nie rozgrzebią  
 zanim język ulepi kulki z piasku

skórą rozłożeni na chodnikach  
 zlizujemy z ławek nasze imiona  
 nasze nazwy  
 tam gdzie w kawałkach znajduje się prawda

przyjaźń zahacza nasze karki o sznury  
 ciągnie w stronę nieba gdzie

wycinamy z gazet nasze oczy--  
 dwa gwoździe wbite w stygmaty



WOJCIECH SZMIGON

## ODYSEJA PROWINCJONALNA

*Przyjacielom tekst ten dedykuję,  
wdzięczny za każdą wspólnie przeżytyą chwilę.*

Siedzę przy stoliku z Robertem i Arturem, w kazamatkach knajpy, odurzony rzeczywistością ciepłej wiosny roku AD 2007. Chiński Rok Świni. Siedlce pogrążone w zakurzonych szybkach małego lokalu, zdają się fantazjować spokojnym, głębokim snem pacjenta, leżącego na stole operacyjnym po udanej narkozie. Miasto jak co roku powraca z ciepłych krain. Wyleguje się potem gdzieś pomiędzy: rzeką Muchawką, wodami Helenki, Zalewem, cmentarzem - przyczajonym przy podstarzałej ulicy Janowskiej, rybnymi stawami oraz poważną dzielnicą przemysłową, zakotwiczoną wzdłuż Brzeskiej. Osiedla głęboko oddychają świeżą zielenią. Kamienice gwałtownie zaciągają się ożywczym, asfaltowym powietrzem, ukazując jędrną witalność ulic: Pułaskiego, Sienkiewicza, Aslanowicza.

Po nagłej i niespodziewanej dezercji małej, karłowatej zimy, ciepłko skwaśniałego słońca przenika do sflaczałych od bezruchu, zimowych opon mózgowych. Wszystkie kawałki przeszłości przyklepiają się do siebie matowymi krawędziami. Łączą się w dziwną, fosforyzującą całość w kolorze butelkowej zieleni. Powstaje anemiczna, krótkotrwała piana barowych emocji, dostrzegalna najczęściej w nieczystych kufkach piwa, sączonego przez lata w *Blaszaku*, pożartym w końcu przez osiedlowe rondo klombów. Dworcowe totemy, płaskie refleksje reklam, chodniki wpełzające w kolejne zagubione uliczki. W parku sentymentalnym księżnej Aleksandry Ogińskiej widzę te same, choć bardziej pobudzone gawrony, wykrzykujące obelgi w kierunku zakochanych par i samotnych poetów. Cisza pomiędzy parkowymi ławkami, podkreśla dojrzewanie przesiadujących młodzieńców. Pożądających seksu, krwi, sensu życia oraz zupełnie nieświadomie akceptacji bliźnich. *Zyliśmy bosko, jak ostatnie świnię* - zamruczał mocno już oszo-

łomiony Wiktor Jerofiejew. Przyznałem mu rację, jak kiedyś, pijąc po niedzielnej Mszy wódkę w Piastowskiej.

Plan na życie składał się wtedy przede wszystkim z objawienia, czyli refleksji o braku celu. Podążaliśmy za metafizyką obietnicy elementarnych przypadków. Nie wierzyliśmy w nic, do czego można by się zapisać ołówkiem, atramentem, krwią lub nazwać sukcesem. Wieża obserwatorów zagubiona w labiryncie przemilczanych słów. *Wszyscy jedziemy na tym samym wózku / Od strachu ratuje nas tylko defekt mózgu...* Rzeźił apatycznie głośnik radiomagnetofonu MK-232 firmy Grundig.

Nadeszło lato 1989 roku. Zwinny, chiński Wąż połykał wielkiego Smoka. Cykl Słonecznego Maksimum rujnował nasze młode pola magnetyczne. *It doesn't matter*. Ważne, że Siedlce systematycznie poniewierały nas swoją ekstremalną epickością betonowej tajgi, drenowanej wspomnieniami o korzennym smaku piwa „Mazowieckie”, pod konspiracyjną nazwą „zemsta ciechanowa”. Każdą ryzykowną emanację naszych doświadczeń, odprowadzała na skraj przepaści dziwna ludzka reakcja, nazywana zgrabnie „obojętnością”. Zamglone oczy mijanych znajomków oraz „gości” o liryce twarzy ponurego magazyniera. Wszeghogarniająca depresja ludzkich postaci zwanych mieszczanami lub jakoś tak po zagranicznemu middle class. Nastalo wówczas piękne, magiczne słowo „bezrobocie”, w czasach prozaicznej apokalipsy opisywanej jako odzyskiwanie wolności społeczeństwa obywatelskiego (masochistycznego?). Kwitła Solidarność, zdychała komuna albo odwrotnie. Kogo to obchodziło? Na pewno nie nas! Czysty ascetyczny beton sklonowanych osiedli przy ulicach: Rynkowej, Czerwonego Krzyża, 22 Lipca, Sobieskiego. Napiętnowany metafizyką socjalizmu, brakiem odniesień historycznych oraz maniakalnym upośledze-





📷 Paweł Żochowski

niem prawdy. Pożerałem *Ulissea* i myślałem, to nie Dublin, Panie Leopoldzie, Bóg kaktusów musi mieć kolce, jeżeli chce być taki jak my.

Znajdowaliśmy się już wtedy gdzieś pomiędzy biegunami kastrowanych systemów politycznych, a hormonalnie zdeterminowanymi doświadczeniami seksualno-alkoholowo-wziwymi. My, czyli: Czarny, Slayer, Pietrucha, Wojtas i Bombardier Yossarian, który nie udawał wariata, żeby uniknąć kontaktu z wojenną rzeczywistością. Właściwie, tak naprawdę, nikt nikomu nie wpięprzał się w indywidualną metafizykę. Egzystencja gdzieś poza czasem i rodziną, a raczej obstrukcja w czasie bolesnego wydalania socjalizmu. Z jednoczesnym lizaniem wyciągu z liści krasnodrzewu pospolitego przez nowonarodzony kapitalizm. Po czasach kolejnej polskiej Golgoty ekstatyczne nawrócenie na nową religię zwaną komercją lub

innym razem „zdrowym” globalizmem - zwierzęcym orgazmem zabieganych materialistów. Sny ostatnich normalnych ludzi, składające się z cuchnących życiem ciemnych przeżyć, odnajdowanych w siedleckich bramach.

Skwerek Kościuszki pojawiający się jako centrum postindustrialnych castingów na punka. Za jedno szybkie owocowe wino można tam było nie tyle zostać punkiem, co wzbogacić duszę o doświadczenie małomiasteczkowej anarchii. Pewnego dnia zawitał tam również Pan Rysio Ch. Starszy facet w jasnym garniturze, który zapewniał, że zna wszystkich „ważnych” lokalnych. On był sfrustrowany i dynamicznie agresywny. My dziwiliśmy się jego kompletnej nieznajomości zasad siedleckiej anarchii. Po słowach „*Nadchodzi zwykle świnstwo / Kompletne skurwysynstwo / A ty nie możesz czekać / A ty nie możesz zwlekać...*” oraz kilku łykach jabola o dumnej nazwie

„Wino owocowe białe słodkie” zrobiło się znacznie spokojniej. Rysio zniknął, a ekshibicjonista „Jacek” przestał mierzyć w nas złotą kulą zrobioną z oblicza ziemi. Po raz już niewiadomo który, dotarł do nas głęboki sens socjalistycznego hasła sklepów monopolowych: „Alkohol pity z umiarem nie szkodzi nawet w większych ilościach”.

Nie sposób dzisiaj obiektywnie wyrazić tego naszego, bezczelnie ostentacyjnego lekceważenia „nowego wspaniałego świata”. Nie pora zapominać ryzykownej deprawacji oraz eksperymentowania na własnym bebechach. Odkrywaliśmy *w co grają ludzie* pomiędzy słowami, promilami i udami naszych młodych kobiet.

Dni zlewały się w jednolite smugi rzeczywistości. Stawały się ulewą, okrywająca wszystko ciepłą, życiodajną energią bezwładu. Po nich nadchodziły nieskończenie długie noce. Obracały się wokół własnych wielowymiarowych osi białych stworzeń. Były zarazem naszym małym kosmosem i nieskończonym wszechświatem uzależniania się od doznań. Kończyły się trywialnym bólem głowy, zmianą przydymionego ubrania, ekstrawagancją lodowatych pryszniców.

Płonęły pierwsze ostre światła, muzyka wyrastała z ciemnych pokoi gęstymi krzakami dźwięków, wrastających głęboko w ciała poruszane hipnotyczną czarną antymaterią międzyludzkich relacji. Potrzebowaliśmy się nawzajem. Na krawędzi świadomości pojawiały się kolejne regionalne piwa o mocy wskrzeszania żywych lub obalania zmarłych. Łazarz zawsze przychodził ostatni. Potem pił i przeklinał, przyczajony gdzieś w kącie pokoju mamrotał coś do siebie. Tak oplakiwał swoją utraconą śmierć.

Ogarnięci płomieniem średnio-procentowych koktajli Vera o smaku marsjańskich owoców, przenikających mózg z elegancją destrukcji „koktajlu mołotowa”, spotykaliśmy się w akademiku przy ul. Żytniej. Tam właśnie często czekał na nas wstawiony Aleks Portnoy. Tylko przy takich okazjach Aleks zbierał od nas szczere i nieustające pozdrowienia dla Małpki.

Zapach tamtych undergroundowych pokoi

był zapachem młodych, nazbyt inteligentnych kobiet, które z niezrozumiałych przyczyn pojawiały się w naszych pielgrzymkach do zbawienia poszarpanych komórek. Doświadczanie myślącego płomienia. Kropla za kroplą pękały kolejne kokony wyobraźni. Wzrok przyzwyczajony do ciemności, półcienie przemijające pomiędzy usługowymi meblami, upadłymi książkami, opuszczonymi butelkami, w kierunku ostatecznej przemiany lub kwaśnych torsji. Miłość jako część odwiecznego rytuału, bardziej smakuje doprawiona śmiercią. *Polaki, dla mnie to po prostu zwykłe pierdolenie* - stawia się ten inny Jarofiejew, chłapiąc Stoliczną z Sisinem i rozglądając się za kolejnym zamroczonym sponsorem gorzały.

Tętno kosmosu, puls śmierci wyczuwalny w młodości jest aksjomatem piękna bezwarunkowego. Ktoś odpycha się rękami ode mnie, od ciebie, od ściany. Zaczynamy pogo. Podskakujemy i objamy się w pogo. Zatracamy się w pogo. Dodajemy perspektywę do zewnętrznych symptomów popolitości. Wprowadzamy do naszego małego świata wibracje, mrowienie zaczynające się gdzieś w dolnych partiach kręgosłupa. To skończony wolny świat bez planu. Aura anty-medytacji. Patrę, gdzie jest Ewa. Moja skala, wzorzec uczuć, punkt odniesienia. To była przez chwilę miłość na wieki. Ewa wkrótce wyjedzie do Danii i nie odezwie się nigdy. Ale wtedy jeszcze tego nie wiedziałem.

Przynajmniej przez chwilę chciałbym umrzeć i żyć jednocześnie. Nie mam niczego. Nie mam uczuć. Coraz więcej alkoholu. Widzę siebie jako przetrawiony półprodukt przyrody. Kolejny papieros rozpuszcza się w popielniczce o kształcie szklanej kuli. Któryś tu zablądził, dostajesz piwo. Idź. Doznawaj. Patrz. Złote obręcze. Święta sylaba. Herezja Eteru. Czarny wie jakich używać barw. Jest duchem. Czarny jest wszędzie, mówią stare kobiety i recytują swoje stare wiersze.

Siedzimy pod zegarem bez wskazówek.

Wierzymy w duszę kaflowego pieca. Ruch, energia i brak refleksji są bezbolesne jak pierwsze stadium raka wątroby. Poczucie

bezpieczeństwa przepisują po stronie tabu. Obecne tu kobiety nigdy nie będą nas kochać, nawet w przebraniu, nawet bez bielizny. Wtedy tego nie wiedziałem. Może nie chciałem wiedzieć. Wtedy było nigdy. Nie budzić się i nie spać. Jeżeli spać, to bez pamięci o początku i końcu bohaterów. Otwieram okno. Alicja kocha nas wszystkich. Czarny i ja uczyliśmy się żyć zadziwiająco szybko. Czarne winogrona wypalonych snów. Pozostały już inne imiona skreślone kredą na drzwiach do łazienek naszych studentek. Impreza trwa. Powietrze za oknem jest innym zwątpieniem. Ciemność nocy miesza się z ciemnością gdzieś w środku akademika. Nawiazujemy stosunki emocjonalne, intelektualne i seksualne. Ciepła „Żytia” kończy się nad ranem. Czerwone oczy ładnie komponują się ze szkarłatem wschodu słońca. Wygrzebałem, gdzieś w kieszeni ostatnią, prawie pustą paczkę Caro. Wychodzimy powoli. *Nie mogę ci wiele dać / Nie mogę ci wiele dać, Bo sam niewiele mam...* Żegna nas monotonna zawodzący Perfect.

Spotykamy się na ulicy Błonie. Mieszkanie jest prawie puste, trzy materace, ława, pikantny ketchup. Wchodzimy. Jest nas kilku. Agnieszka poprawia platynowe włosy. Agata nigdy nie patrzy mi w oczy. Pijemy za szybko i za dużo. Jest śmieszniej niż wczoraj. Będzie lepiej niż jutro. Czy może znudzić się wolność? Pyta ktoś, kto kroi żółty ser w małe, cienkie sześcianiki. Poprawiamy piwem smak wódki. Zasypujemy popiołem z papierosów „Mocne” oraz paranoidalnymi słowami podłogę w kuchni. Uciekam i przechodzę przez wrażliwość ziołowego dymu. Nie mam pochodzenia, historii, przodków, zasad, ani złotych myśli. Mgła determinuje każdą okazję. Krishnamurti odpłynął z ostatnim przepaszającym gestem. Przenosimy jego bezwładne ciało na materac z morskiej trawy. Nikt nie ma tutaj własnego, właściwego czasu. Nikt nie ma dzisiaj właściwego miejsca. Sterylność sąsiadów wsluchujących się we własną uprzejmość. *W głąb siebie jak w las / ja własne zesłanie* nagle wykrzykuje pijany Andriej Wozniesiński. Myję dłonie prawie zimną wodą. Poje-



📷 Dariusz Hankiewicz

dnanie z samym sobą. Muzyka już bez znaczenia, ogarniając zanika. Powtarzanie kolejnych uderzeń. Rytm dostosuj do melodii najprostszej. Tu ci nie pomoże myślenie o upokorzeniach i własnych traumach. Dzisiaj Mistrzu nie obowiązują Twój rozwój duchowy. Wszystko odbywa się za kurtyną mechanicznie pobudzanego światła. To ostatnie nasze pogo w Siedlcach. Pomyślałem, że życie tu, na ziemi jest jeszcze piękniejsze niż jego powtarzanie się w wieczności. Ludzie mijają się hałaśliwie, tańczą, wirują i dużo mówią. Szkło potępieńcom rozdają anioły. Majaczenia. Zapominanie. Jak się poznaje dogłębnie własną, pokręconą fizjologię?

Ostatni odpoczynek na parapecie grzesznika. Zamierzam podziwiać to miasto oświetlane nieśmiertelną konstelacją światła. *Zawsze jest dobrze, tylko czasami lepiej,* mawiał Pietrucha, gdy grzeszył. Śmiał się,



gdy mówił o przyszłości. Poważniał, patrząc na plakat towarzysza Lenina z postawionym „irokezem”. Parapety zawsze dodają coś od siebie. Śmieszne oskarżenia o niedojrzałość. Już lepiej nie będzie. Będzie starzej, będzie chorzej, będzie odpowiedzialniej, ale nie będzie lepiej, Bracie. Mieszkanie rozdyma się od bezmiaru materii. Bezrefleksyjność. Anachronizm cywilizacyjnych skojarzeń. Bez argumentów na tak. Ludzkie zwierzę siedzi skulone na parapecie. Już tylko przeznaczenie określi jego dalszą możliwość trawienia lub chwilową przerwę w odbywaniu wyroku używanych wcielen. Czarny chwytą mnie za ramię i wciąga do środka. Czyżby uratował mi ósme życie? Wracam do zgiełku. Uśmiechniętych kobiecych ust i osiemnastoletnich biustów. Rozciągniętych pomiędzy równinami pokoi. Byłem tak blisko i

jednocześnie tak daleko. Jutro nie będzie o czym mówić. Nie będzie nawet o czym słuchać.

Wychodzimy Panowie! Odczarował mnie swoim stanowczym falsetem dziwnie wychudły barman. Ogromne, stalowe kolumny zawieszono pod sufitem ostatni raz wiodą moje zmysły w kierunku *Summertime*. Śpiewa moja Janis Joplin. *Summertime, time / Child, the living's easy. / Fish are jumping out / And the cotton, Lord, ...* Janis, kiedy umrę, chcę być w Twoim niebie, błagam. Zbieram notatki. Dopijamy żywca. Za dużo cholesterolu, za mało życia, Panowie. Wychodzimy wprost pod niespiesznie nadjeżdżającą siedlecką osobową noc. Dogasają ostatnie ognie na dzikich polach, na n a s z y c h dzikich polach.



JOANNA RZODKIEWICZ

### Opłukiwanie truskawek

Rozpaczliwie szukają ocalenia  
jedna wspięła się już  
na śliską krawędź  
inne krążą chaotycznie  
po słodkich policzkach truskawek

W obliczu nagłej katastrofy  
jakie modły wznosisz  
mała mrówcza istota  
zagubiona w kobiałce wszechświata?

Pod ciężarem kropli wody  
rozgrywa się dramat istnienia

Zbyt silny strumień  
chwila nieuwagi  
może kaprys  
boskiej ręki  
spłucze cię  
w kosmiczny niebyt

### Prośba

Kiedy wypiję  
łyk ostatni  
a włosom zabraknie  
aksamitu

zamień mnie  
w zielone trwanie  
w kroplę  
MALACHITU

### Nauka

Jedyny sposób  
aby poznać  
tajniki rzemiosła  
to zmaganie  
z mistrzem

Walczysz z tymi  
których kochasz  
mocujesz się  
ze sobą  
na lekcjach  
pokory

I rośniesz



JERZY REUTER

## FERMENTACJA

Staję osłabiony upałem i mruczę pod nosem zaklęcie: „Sezamie, otwórz się”. Jestem jak Ali Baba. Szklane tafle rozsuwają się bezszelestnie i uderzają ze środka klimatyzowanym, chłodnym powietrzem. Zezowaty menel patrzy z nadzieją prosto w moje oczy, ale poznaje chyba swojego, bo opuszcza smętnie wzrok i odsuwa się robiąc mi miejsce w wejściu. Sezam wieje chłodem i parzy w oczy kolorami opakowań. To wszystko może być moje i częściowo kolegi menela, ale to takie założenie, które nikomu nie szkodzi, a mnie pomaga doczołgać się do następnego dnia. Moje rutynowe obchody zaczynają się zawsze od stoiska monopolowego. Sprawdzam napisy na etykietach. Przyglądam się bacznie, czy komuś tam u góry nie zaszkodził upał i nie podniósł ceny na moją ulubioną nalewkę wieloowocową. Różnie bywa, czyż nie?

Zostawiam kolegę menela i jego bratnią duszę przed marketem, niech tam trwa. Wózek zawsze biorę taki duży i opasły, że ledwie pcham tę kupę drutów. Niech wszyscy widzą, jakie mam zamiary. Smirnoff, Gorbaczow, Dębowa... To nie moje klimaty. Wolę swojskość i prażność, tylko „owoc”! Przechodzę z obojętną miną obok wielobarwnych butelek i udaję, że mam to gdzieś, że mnie to wszystko nie dotyczy. Może pomyślą ludzie, ot przyszedł po karmę dla dzieci, rodzinę ma na sumieniu? Albo kobieta – och...! Kobieta! – Czeka na zakupy. Gapi się w pusty stół i liczy minuty, kiedy nadejdzie z siatami ciężkimi, przy nadziei. Potem ona do niego się uśmiechnie i stworzy artystyczne dzieło – obiad. Nic z tego! Nie ma tak dobrze pod niebem ciężkim, jak moja dola. Pod niebem ołowianym, jak śpiewał pewien miłośnik nalewek owocowych. Dobrze mu tak.

Mój dom jest pusty jak ten wózek. Pcham go z całą chłopską determinacją, a on rozjeżdża się na malutkich kółkach i ucieka na wszystkie możliwe strony, ale co by sobie

ludzie pomyśleli, gdybym z takim malutkim plastykiem pod rękę paradował po krętych uliczkach Sezamu? – Bida! – Tak by mówili! – Niech idzie sobie precz, gdzieś do kiosku małego jak ten koszyczek. Niech nas zostawi w spokoju i nie drażni swoją przyszczatą mordą. Kij mu w oko! – może nawet – Chuj mu w dupę! – Jeszcze by, który, popchnął na piramidę puszek z fasolą czerwoną, a potem ochrona i kopa bym zarobił, i do menela, kolegi mojego, na wartę. Mój dom, więc, jest pusty, bez duszy, duszeńki. Bez tego ciepłego, miękkiego i kobiecego, jak rzekł poeta. – Dzień dobry – słyszę gdzieś z boku cienki, żeński głos.

- Dzień dobry – odpowiadam szczęśliwy, że są jeszcze poczcivcy na świecie – Dzień dobry! Jakże dobry! – Dyskretnie chowam do lewej kieszeni kostki rosołowe, drobniowe, bo wołowych nie lubię, zaciemniają kolor zupy. – Bardzo mi miło! – Sos cygański do drugiej. Obiad już prawie mam!
- Dzień dobry pani – inny, kobiecy głos się wplątał i zaburzył moją radość. – Zakupy, zakupy?
- Wszystko już mam, droga pani, już obiad mam prawie, tylko listka bobkowego zabrakło.

Szlag mnie za chwilę trafi, więc odjeżdżam w stronę warzyw. – Kozich bobków sobie kup! – mruczę pod nosem. Po co taka przyłazi i humor wysysa? Kto ją tutaj prosił? Przez chwilę byłem na styku obojętności z wiarą w człowieka, a tu masz! Idę po ziemniaki, po wypełniacz.

Jedna marchewka do woreczka i na wagę. Druga w rękawie. Waga zmyslna, bo cenę drukuje. Przylepiam na woreczku równe piętnaście groszy i ukradkiem marchew z rękawa dokładam. To samo robię z ziemniakami. Winogrona konsumuję na miejscu. Niby dotykam, głaszczę soczyste kule, a co chwilę któraś wpada w więzienie moich ust. Gryzę delikatnie, bo ochroniarz czuwa. Czuj duch! Ja też czuвам. Jemu za


to płacą, a mi nikt nie płaci. Nikt mi za to nic nie daje. Nawet rentę moją, ciężko zdobytą kosztem zdrowia, zabrali. Teraz opieka społeczna – taka ich mać – bladź – czasami coś mi kapnie, za to, że tamci już mi nie płacą. Namiastka sprawiedliwości równa się pięćset złotych miesięcznie, czyli renta socjalna. Bieda-renta, jak bieda-szyb górnika, jak afrykański smutek żyrafy na gołym stepie. Do ziemi za daleko, a górą tylko powietrze.

- Przepraszam pana – wyrywa mnie z zadumy filozoficznej miły głos. – Które lepsze? Czerwone czy zielone?
- Czerwone – odpowiadam zaskoczony. – Jeżeli już, to tylko czerwone, miła pani. Ja tylko takie degustuję. Proszę spróbować, ale powoli, bo mundurowy gdzieś tu krąży.
- Ostatnio przyłapał mnie na cukierkach, taki z niego lis. Powiem panu, że nie mam wstępu na cukierniczy, tak mnie załatwił.
- Ja, moja droga pani, na słodycze mam już od

roku zakaz, ale mam inne miejsca, równie pożywne.

- Dyskretnie robię klasyczną zasłonę ciałem i przyglądam się mojej rozmówczyni-współniczce. Białe spodnie i biała bluzka, a na szyi czerwona apaszka. Coś pięknego! Mała główka przykryta słomkowym kapeluszem, a na plecach, spod kapelusza, wije się blond warkocz. Czuję miękkość w kolanach. – Leon – kładę rękę na jej szczupłym ramieniu. – Jestem Leon.
- Zenobia – nie broni się, nie strąca mojej dłoni i odwraca się frontem do mnie. – Winogron mam już dość, panie Leonie. Miły z pana człowiek.
- Mili ludzie, pani Zenobio, przyciągają się, czyż nie?
- Ona uśmiecha się słodko, a ja rozbieram ją mentalnie. Odgaduję wszystkie zagłębienia i wypukłości ukryte pod ubraniem. Jesteśmy oboje w wieku tak zwanym nierozbieralnym, czyli w takim, gdzie rozbieranie przed sobą grozi kosmicznym



 Paweł Żochowski



- smutkiem i atakiem meteorytów, ale, od czego są marzenia? – Miłych ludzi przyciągają winogrona, panie Leonie. To święte owoce, przystające w całej krasie bogom.
- I boginiom, miła pani Zenobio. – Wtrącam zalotnie i patrzę jej tak głęboko w oczy, że kamienie miękną. – Zapraszam na dalszą degustację, w inną część Sezamu.
  - To ja odstawię swój wózek. Pojedziemy sobie jednym. Czy mogę wziąć pana pod rękę?
  - Ależ, pani Zenobio... – jest w tym zdaniu zaproszenie i radość. „Toś już prawie moja, pani Zenobio”. – Myślę podniecony i szczęśliwy.
- Pchamy wspólnie drucianą klatkę na kółkach, a ja podnoszę głowę i rzucam dumne spojrzenia. Niech widzą opasłe baby i skapcianieli wodzowie rodzeni. Oni mają portfele, a ja panią Zenobię. Z manifestowaną odrazą mijamy stoisko mięsne.
- Mięsie nie jadam. – Wyrywa mi się i czuję jak mi łąza do oka podpływa. Robi mi się nieprzyjemnie i wstyd. Tak, nie jadam, ale nie dodaje, że mnie nie stać. Jakże mi przykro!
  - Tośmy się spotkali! Ja też z jaroszów! – mówię to z entuzjazmem, ale ja widzę, że nie jest jej radośnie. – Czasami jajeczko zjem, ale jedno – dodaje z uśmiechem.
  - Jajeczko... Mogę śmiało powiedzieć, że to moja dieta, nawet ulubiona. Zdarza się, że zjadam kilka dziennie – i znowu ta podpływająca łąza. Przecież kilka zjadam na miesiąc. Boli mnie okłamywanie takiego piękna. Pani Zenobia uśmiecha się skromnie, a ja już wiem, że ona wszystko rozumie. Zatrzymujemy się przy stoisku z chrupkami, płatkami i tymi wszystkimi patentami śniadaniowymi. Pani Zenobia robi zasłonę, a ja wywiercam palcem dziurę w opakowaniu. Wyjmuję kilka miodowych kulek.
  - Proszę się częstować.
  - Dobrze, pierwszorzędnny pomysł na śniadanko.
  - Robię to często, ale musimy uważać. Ochrona nie śpi. Mogą nawet pobić boleśnie, do krwi, pani Zenobio.
  - Chamstwo, panie Leonie. Zupełne zdziczenie.
- Raz mnie złapali na serach. Degustowałem nowość pleśniową. Jak oni mnie zbili! Tak walili pięściami po plecach, jakby sprawiedliwości nie było, a we mnie dudniła wielka pustka. – Taką pustkę przeżyłam, gdy mnie złapali z przecierem pomidorowym. Na środku sklepu rewidowali... Tylko łązy i łązy... Jakże ja pana rozumiem, biedny panie Leonie.
- Powoli zbliżamy się do wyjścia. Po drodze, jeszcze raz stoisko monopolowe i stróżujący przy wyjściu menel. Pani Zenobia ustawia się w kolejce.
- Coś dla ducha – uśmiecha się do mnie i mruga zalotnie okiem. – Wieloowocowego!
  - Pani Zenobio – oświadczam uroczyście. – Jeżeli nie pogardzisz skromnym obiadem i degustacją dobrej nalewki, to ja panią zapraszam – słowa usztywniły mnie i poczułem, jak dziwna, gorąca fala zalewa mi twarz. – No, chyba, że ma pani już wyznaczony cel. Może ktoś czeka? Spragniony siedzi w oknie i wygląda za panią? Drżą mu ręce, słowa wymówić nie może? Przecież ja znam objawy nagłego odstawienia naleweczki, po intensywnej konsumpcji.
  - Ależ drogi panie Leonie! Nie odmawiam! Przyznam, że moim zamiarem była samotność, wsparta łąyką czegoś szlachetnego, ale... Skoro pan zaprasza, to ja z przyjemnością. Równie dobrze mogę nadużyć w pańskim towarzystwie.
- Pakuję do obszernego worka zakupy. Dwie nalewki, marchewki, kilka ziemniaków. Z dziennego przydziału pozostało równe dwadzieścia groszy, będzie dla menela. Pani Zenobia, tajemnicza i pociągająca, tumaniąca grubym warkoczem, uśmiecha się... Boże! Ona uśmiecha się do mnie!
- Sezam rozsuwa łąśniące szyby. W wyjściu stoi mój menel i wyciąga rękę. Nawet nie spojrzął na moją towarzyszkę, gapi się prosto w moje oczy. Bez słowa wkładam mu w dłoń malutką monetę. Masz Cerberze swój okup, na szczęście.
- Czy to jakiś pański kolega? – przystaje moja pani Zenobia i widzę jak rozszerzają się jej oczy. Może jest zaskoczona? Zdegustowa-

na? Przez chwilę zastanawiam się, szukam jakiegoś słowa – wyjaśnienia. Co mam powiedzieć? – Odwal się! – ktoś za naszymi plecami podnosi głos. – To jest mój promotor! Spieprzaj! Odwracamy się, a tam mój menel własnym ciałem zasłania drogę innemu menelowi. On broni dostępu do nas.

– Już wiem – uśmiecha się do mnie, słodka Zenobia. – Pan jest tutaj znany!

\*

Praktyczność mojego obiadu polega na tym, że tuczy tylko w połowie, bo w połowie jest kradziony. Przysłowia są prawdą objawioną, czego dowodem jesteśmy my – ja i pani Zenobia. Wyglądamy jak dwa wysmukłe jesiony z konarami wysuszonych kończyn. Nie puchniemy od ciągłych „degustacji” w Sezamie, ale sytość nie jest nam obca.

Dzisiaj, kuchnia serwuje ziemniaki polane cygańskim sosem, pod bulion z marchewkową wkładką. Dwa dania jak dwa kartony nalewki wieloowocowej. Dwanaście procent, pani Zenobia i ja.

– Mieszkanie moje, pani Zenobio, jest przykładem skromności i artystycznego rozgardiaszu – staram się tuszować ordynarny bałagan. Mieszkam w jednym pokoju, więc wszystko jest poskładane na jedną kupę. Mój dom jest jak piramida. Pełno tu tajemnych ścieżek i tylko znajomość ruchów konika szachowego pomaga cokolwiek odnaleźć. – Ja się już w tym nie mieszczę – dodaję tragicznym głosem. – Przestrzeń ściska mnie jak imadło.

– To może ja obiorę ziemniaki, a pan troszkę posprząta, panie Leonie. Może powiększy się gabaryt pańskiej przestrzeni?

– Oczywiście, ale niewiele mogę, niewiele. Tutaj każdy przedmiot ma swoje miejsce. To są organa mojej egzystencji, wszystko tu współgra, pani Zenobio.

– Bardzo proszę... – Zrobię, co w mojej mocy. Pani Zenobia wychodzi do kuchni, a ja nogą, jak kijem hokejowym upycham, przesuwam i ugniatam wszystko, co na drodze. Zdieram pościel z wersalki i wynoszę na balkon, potem składam moją spalnię w

fotel, co zwykle czynię raz w roku, gdy ksiądz przychodzi z kolędą. Książki zostawiam. Te małe piramidy, które tworzą tę wielką, jedną i stanowiącą enigmatyczność mojego mieszkania, są jak wizytówka. Tołstoj na Woroszyłskim. Jesienin, przytulony do Sylwii Plath. Biblia, centralnie na stole. W niej, pomiędzy kartkami, leżą powytwane dziesiątaki, nabierają świętości, a w jednym, specjalnym miejscu – Pieśń nad pieśniami – leży całe sto złotych. Każdy z nas czeka na swoją „czarną godzinę”.

– Sosik już zrobiony, a ziemniaczki przyjemnie bulgoczą! – pani Zenobia siada za stołem. – To może po jednym?

– Oczywiście! To będzie jak aperitif.

Szklanki? Literatki, lampki? Ale skąd? Moja kuchnia jest jednoosobowa i kończy się na fajansowym kubku z jakiejś promocji, jednym kieliszku i kilku plastikowych szklaneczkach.

– Chyba pójde do sąsiada po szkło! – mówię i znowu czuję podpływającą pod powiekę łzę. – Ja tutaj sam jestem, pani Zenobio, jak mustang samotnik, jak biedny artysta. Chyba, że nie pogardzi pani kubeczkami z tworzywa sztucznego, bo tylko takie mam.

– Pan mnie nie docenia – uśmiecha się tajemniczo, a moje serce skacze, jak durne, do gardła. – Ja zawsze mam szklaneczkę przy sobie, że tak powiem, piję ze swego naczynia.

– Absolutnie mnie to nie dziwi. Gdy byłem jeszcze młodym junakiem i bywałem w różnych radosnych miejscach, też swoje szkielko posiadałem. Nie tylko dla higieny, ale dla zwykłej ludzkiej wygody. To było jak niezbędnik wzorowego żołnierza.. Z tak zwanego gwintu, owszem, wypiję, ale z damą nigdy. Fason nie ten. – I za to, panie Leonie, już pana lubię! Proszę o napełnienie naczyń, a ja zerknę na dzieła sztuki, wiszące na ścianie. – Wyciąga z torebki mały pakunek, odwijają chusteczkę i stawia na stole szklanekę, malowaną w zielone kwiatki. – Widzę szkołę flamandzką, to przecież Portret rybaka van Gogha. Świetna reprodukcja!

– Dla mniej obytych ze sztuką – wyjaśniam – to portret mojego przodka. Wszystkie

obrazy to reprodukcje, ale malowane olejem. – Jest pan niewątpliwie wrażliwym człowiekiem. Wypijmy pod sztukę.

- Wypijmy... Do dna!
- Tylko do dna! Nalewki inaczej nie piję.
- Nalewka, pani Zenobio, pita małymi łyczkami, ma tendencje powracania do szklanki. Więc do dna!

Po czwartej kolejce, okraszanej przyjemnymi dialogami, ziemniaki „doszły”. Pani Zenobia zajęła się podaniem dania na stół, a ja sztukami. Tutaj napotkałem na mały problem. Mam w domu, ukryty głęboko, zabytkowy komplet, ale tylko dla jednej osoby. Wyjmuję ten mój srebrny skarb, a może tylko posrebrzany i układam na miejscu gościa. Sobie podaję tradycyjny, aluminiowy. Alkohol powoli miesza się z krwią i jak mówią kiperzy spod Sezamu – wchodzi.

- Smacznego pani.
- Smacznego panu.

Jemy powoli i z dystynkcją. Moja Zenobia łokcie przylepiła do boków i operuje tylko nadgarstkami. Staram się naśladować jej ruchy, ale kapituluję po chwili. Odwykłem!

- Proszę się nie kłopotić. Mnie tato tak nauczył – Odgaduje powód mojego zażenowania. – Pomiędzy łokcie a ciało wkładał mi monety. Gdy pieniądze wypadły, kończyło się jedzenie, gdy nie, były moje. Mój tato, panie Leonie, był oficerem. – To nie jest moje nieobycie, to samotność! – Tłumaczę się zawstydzony. – To brak serca przy sercu i wspólnego ciepła. Od tego zimna reumatyzm duszy więzi mnie swoim bólem. Napijmy się! Proszę.

Wypijamy po szklaneczce i ze zgrozą widzę, jak pani Zenobia przygląda się sztukom. Jeszcze tego brakowało!

- Ciekawie grawerowane – stwierdza. – A cóż to?
- Swastyka! – krztuszę się z wrażenia. – Historyczna i zabytkowa cecha. Niemiecka secesja, droga pani. Lata trzydzieste, monachijska manufaktura. – Rozumiem, to przecież bez znaczenia. Pańskie, z jakiej epoki, bo widzę, że też mają



📷 Grażyna Hankiewicz

grawerowanie?

- Moje sztuce to klasyczny socrealizm, miła Zenobio, widelec ma wryty symbol „Orbis”, a nóż „Społem”. To też sztuka. Zaliczam się do ludzi bywałych w świecie i niejedno dzieło zostało mi na pamiątkę. Obiad zjedzony w miłej atmosferze, a wypita nalewka tworzy klimat. Zająłem się w rewanżu za kucharzenie sprzątaniem. Właściwie nie sprzątaniem, a odniesieniem naczyń do kuchni. – Może jakąś muzykę? – pytam radosny i syty. – Mam kasetowy magnetofon i kilka taśm.
- Bardzo proszę! Może nawet zatańczymy? Rozglądam się na boki i szukam miejsca do tańca. Może jakiś przytulany i w bezruchu, bo miejsca do tanga brak. Wkładam kasetę „Enigmy”, to ma klimat odpowiednio romantyczny.
- Stoimy w miejscu, udając jakiś dziwny taniec. Bujamy się lekko na boki i dociskamy z całych sił do siebie. Moja lewa noga wsparta na piramidzie z Woroszylskim. Jej prawa noga uniesiona do góry, wsparta na Jesiennie. Jestem umiejscowiony pomiędzy nogami pani Zenobii. Co chwilę, by nie stracić równowagi, ujmuję delikatnie jej pośladki i dociskam do siebie. Wszystko we mnie śpiewa! – Panie Leonie! – dyszy mi gorącym swego oddechu do ucha. – Ja coś muszę powiedzieć! Mam pewne dziwactwo!

- Na naszym poziomie, pani Zenobio, dziwactwa nie istnieją.
- Ale ja muszę to powiedzieć!
- Nie lepiej to zrobić? Bez uprzedzenia?
- Jezus! Kiedy ja muszę!
- Zrobię wszystko, dla pani, wszystko!
- Ja muszę... Muszę, inaczej nie potrafię... Panie Leonie!
- Proszę mówić – całuję jej uszy i mocniej dociskam do siebie. – Ja wszystko dla pani! Boże!
- Nie będzie się pan śmiać? Proszę dać słowo!
- Słowo!
- Ja... Tak już mam... Nie usnę przy ścianie!

\*

Najżałośniejszą częścią dnia człowieka w moim wieku są poranki. Budzę się wtulony w zimną ścianę i nie otwierając oczu przypominam sobie wczorajszy dzień. Obmacuję swoje ciało i z przerażeniem stwierdzam, że jestem nagi. Wyciągam rękę na drugą stronę wersalki i niczego nie znajduję. Tylko puste i zimne miejsce. Zwiąła! Nie! Słyszę szum wody w łazience. Po chwili otwierają się drzwi i jej miły głos oznajmia, że już dzień, że należy wstać i powitać, może nawet ucałować, na dzień dobry.

- Panie Leonie! – woła. – Pora!
- Nie śpię! – odpowiadam.
- Wchodzi do pokoju, parująca po kąpiel. Czy sta jak spowiedź, piękna jak modlitwa. Włosy luźno rozpuszczone sięgają do pasa. Ubrana w moją koszulę, filuternie rozpiętą od dołu, pokazując zgrabne nogi.
- Wstajemy, wstajemy, panie Leonie.
- Poproszę, w takim razie, podać mi moje gacie, wiszą na balkonie.
- Nie jest źle. Zostało nam po szklaneczce nalewki, tak na apetyt, na chęć do życia. Siedzimy przy stole i wpatrujemy się w siebie jak w jakieś magiczne lustro. Pani Zenobia kipiąca kobiecością, ja nieco zmęczony. Obserwuję jak zaplata warkocz i czuję w sobie rosnące pokłady męskości. – Pani jest piękna – mówię cicho i czuję, że znowu ta moja łaza podpływa mi pod powiekę.
- Czy można, tylko proszę o szczerłość, czy można zakochać się po pierwszym, a

właściwie po jednym razie?

- Można, kochany panie Leonie, można nawet po wspólnym zjedzeniu jednej kulki winogrona.
- Potem łapiemy się za ręce, potykamy o sterty książek, upadamy, podnosimy się nawzajem, rozrywamy koszule na sobie, aż guziki szybują pod sufit. – Zenobio! Kocham panią!

\*

Moja pani Zenobia kończy zaplatać warkocz, piękny, konopiasty i gruby. Ja skreślam liczby w multilotka. Jeden zakład, który jest częścią mojego planu. Następnie wyciągam ze świętej księgi sto złotych i przepisuję w rogu banknotu liczby.

- Pani Zenobio, dzisiaj świętujemy – oznajmiam. – To będzie wielki dzień. Pani pójdzie z tym banknotem do sklepu i zrobi małe zakupy. Nic na obiad, bo zapraszam panią do baru. Jakiś pasztecik i chleb, może maselko. Ja, kochana, udam się wysłać ten oto zakład i spotkamy się pod sklepem. Tylko nie do Sezamu! Tam pójdziemy potem. Proszę iść do tego małego sklepiku z różową wystawą. Czy ma pani dwa pięćdziesiąt drobnymi?

– Mam, panie Leonie.

– Proszę mi dać. To na zakład.

Wychodzimy z domu i każde idzie w swoją stronę. Szybko załatwiam multilotka i zjawiam się pod sklepem. Pani Zenobia już po zakupach.

– Proszę teraz iść do domu – wręczam jej klucze. – Za piętnaście minut będę.

– Dobrze, umyję naczynia.

Ustawiam się w kolejce, czwarty do lady.

Ekspedientka młoda i wystraszona. Szef ma drania i rzeźnika. Mówią na niego Ludojad. Podobno, po pracy rewiduje dziecizny, wkładając im rękę do majtek. Tym razem nie moja sprawa.

– Co dla pana?

– Cztery parówki, te długie i dwadzieścia deko sera edamskiego.

– Osiem i czterdzieści trzy grosze – pakuje mi to w małą foliową torebkę.

Kładę z obojętną miną dziesięć złotych w banknocie na ladę. Dziewczyna wydaje resztę i kieruje wzrok na następnego



- klienta. Stoję i czekam, nie biorę zakupów z lady. Przyglądam się towarom na półkach.
- Coś jeszcze?
  - Nie, to wszystko, dziękuję... Ale czekam na resztę.
  - Reszta leży przed panem!
  - Przepraszam bardzo! – zaczyna się heca. – Ta reszta nie jest dla mnie! Dałem pani stówę!
  - Jaką stówę? Jaką? – zaczyna się denerwować, co jest oznaką niepewności. – Dyszkę mi pan dałeś! Co pan mi tutaj?
  - Tym razem pani się to nie uda! – triumfującym wzrokiem zataczam wokół. – Kierownika! Wołać kierownika!
- Z zaplecza wytacza się Ludojad. Idzie posapując. Jeszcze nie wie, co się stało, ale gęba mu szczerwieniła i zacisnął pięści.
- Czego! – pochylił się w moją stronę przez ladę. – No, czego, pytam się jasnie pana!
  - Zaszła mała pomyłka, którą natychmiast możemy wyjaśnić. Zapłaciłem tej pani banknotem stułotowym, a pani, przez pomyłkę wydała mi z dziesięciu.

- Wystarczy wydać jak należy i po sprawie.
- Kasia! – docisnął ekspedientkę brzuchem do lady. – Jak było?
  - Dał dychę!
  - Dałem stówę!
  - Dychę dałeś, stary bucu!
  - Proszę bardzo! Mogę to udowodnić! Jestem hazardzistą i namiętnie grywam w multi-lotka. Wczoraj w nocy naszło mnie natchnienie na pewne liczby. Żeby ich nie zapomnieć, zapisałem sobie na stówce, którą akurat miałem pod ręką. Proszę bardzo, tutaj jest kupon wysłany na te liczby. Proszę zbadać wszystkie stowy w kasie. Jeżeli będzie jakaś z tymi numerami, to mam rację. Zgoda? Kupon wysłałem przed przyjściem do sklepu. Tam jest godzina.
  - Dupa Jaś! - Ludojad gapi się na mnie i powoli zaskakuje. – Kaśka zamknij sklep. Jak nie znajdzie tego banknotu to masz w dziób! – A jak znajdziesz? To co?
  - To te zakupy masz gratis.
- Nie trwało to długo. Moja stowa z daleka



drażniła szeregiem zapisanych cyfr.  
Ludojad długo wpatrywał się we mnie.  
Uśmiechał się i kłął na przemian. W końcu  
oddął banknot i oczywiście, dyszkę z  
zakupami.

W domu pachniało mydłem i Zenobią.  
Kuchnia świeciła czystością, a na półeczce  
stały dwie nowe szklaneczki, malowane w  
zielone kwiatki.

– Pani Zenobio – przytuliłem ją do siebie. –

Dzisiaj idziemy na pierogi z jagodami... Do  
baru „Przysmak”

– Dobrze, z przyjemnością, ale coś po drodze  
musimy załatwić.

– Bardzo chętnie.

– Damy naszemu menelowi całe dziesięć  
złotych. Stać nas na to, czyż nie?



Z. MAREK PIECHOCKI

## i tą jedną co od lat

(Z cyklu *Epitafium dla Przyjaciół*)

1.

W ferworze tamtych dni  
znaczonych Jego chorobą  
umieraniem  
pożegnaniem  
rozmowy tylko  
*jak to się stało*  
i rozpacz ta pierwsza  
w krwioobiegu  
natrętna  
i to pytanie  
DLACZEGO ?

Dopiero dzisiaj wiem  
jak Go brakuje  
w dni powszednie znaczone pracą  
i w te „od święta”

- pod kościołem spotkania  
albo w Moczydle  
Nim rozradowanym nie pulsują  
i już nigdy nie powie: „Marek my  
jednolatki”...

2.

Jesiennie  
coraz bardziej jesiennie

Ja

jeszcze z opalenizną lata  
przyjaźniami od wiosny  
i tą jedną  
co od lat  
w te dni przedostatnie przerwana

Nie zdołali  
zesuwać lekarze  
nitek rozerwanych  
z miłości do nas uwitych  
(dotąd nad podziw  
rozciągliwych)

I tak to  
z krain niebieskich  
czuwa teraz nade mną  
nad nami  
Artur M.

3.

Do tej pory  
a przecież to już pięć lat  
odkąd Ciebie nie ma  
nie mogę zapomnieć słów:  
„Marek my jednolatki”  
tak więc  
miałbyś teraz pięćdziesiąt osiem

Inne teraz czasy Arturze  
inne  
pracy już dla mnie nie ma  
i wikt nader skromny

Pan listonosz  
przedemerytalne świadczenie wręczając  
co miesiąc to samo powiedzonko powtarza:  
”Za mało by żyć, za dużo by umrzeć”

A lato takie piękne tego roku



TOMASZ DRZAZGOWSKI

## O MIŁOŚCI W POCIĄGACH

Świt zastał go przy stole w pokoju. Nie wiedział, co go obudziło - Słońce, które przed chwilą musiało ukazać się między blokami, czy raczej jego własna głowa osuwając się, jak nie raz w pociągu, z dłoni, na której ją oparł. Kiedy ostatni raz patrzył na zegarek, było parę minut po czwartej; teraz wskazywał wpół do szóstej. Miał jeszcze czas. Wyciągnął z paczki papierosa. Ostatni. Zapalił go w kuchni w otwartym oknie, patrząc na białe bloki naprzeciw. W porannym Słońcu wyglądały jak szkielety wielkich ryb, dawno temu wyciągniętych na brzeg morza.

Woda zaczynała gotować się w czajniku. Odruchowo wyciągnął z szafki dwa kubki. Dopiero po chwili się zreflektował i odstawił jeden z nich na półkę. Zdjął z czajnika gwizdek i przez dłuższy czas wpatrywał się w buchającą parę. Potem zdecydowanym ruchem wyłączył gaz i nalał wrzątek do kubka.

Pił powoli, drobnymi łykami. Nawet kiedy podnosił kubek z kawą do ust, trzymając go w obu dłoniach, nie przestawał się w nią wpatrywać. Leżącą w łóżku niepraktycznie ustawionym wezglowiem do ściany i niemal przez to wypełniającym cały pokój. Ich jedyny pokój. W jej rude włosy, których nie przestała farbować, rozrzucone na poduszce. W dłonie o długich palcach. W czerwone na ich końcach paznokcie.

Wychodząc z domu spoznał na nią raz jeszcze, stając na chwilę w drzwiach pokoju.

\*

Zbiegł szybko po cementowych schodach. Po wyjściu z klatki uderzyło go zimne i przenikliwe powietrze przedwiośnia. Na chwilę przystanął i zamknął oczy. A potem otworzył, pozwalając, by obmył je wiatr, by chłód wnikał głęboko pod powieki. Zapiął kurtkę i włożył ręce do kieszeni.

Powoli szedł przez puste osiedle. Nie było

jeszcze krzyków dzieci i rozmów matek na placu zabaw. Nie było jeszcze szumu odpalanych samochodów, które stały teraz zaparkowane wzdłuż chodników. Również na zielonych ławkach bez oparc nikt nie siedział. Bloki były jak flanki lub raczej ogromne ekrany niepozwalające wnikać na osiedle odgłosom z Puławskiej, Wałbrzyskiej i Doliny. Cisza. Przerzywana tylko, a raczej podkreślana miarowym trzaskiem puszek po piwie gniecionych nogą przez menela w śmietniku. Minął najpierw jego, a potem przewrócony i szerniał od ognia kontener na plastikowe butelki i poszedł dalej. Stary asfalt alejki był miękki i szary. Tłumił jego kroki jak dywan. Zostawił za sobą szpalery równo przyciętych drzewek, na których lada dzień miały pojawić się pąki. Przez przejście w bloku wyszedł na Bacha, a po chwili był już na Wałbrzyskiej.

Mijał handlarzy w samochodach o egzotycznych, skierniewickich i radomskich rejestracjach. Jego wzrok przyciągały jedynie przebłyski kropel wilgoci na matowej skórze szarych renet i mekintoszy. Bez spoglądania przeszedł obok meneli na schodach Mokpolu. Zatrzymało go dopiero czerwone światło. Skrzyżowanie, choć przecinane już o tej porze przez jadące od strony Piaseczna samochody, podmiejskie ikarusy i pekaesy, było jednak pustą przestrzenią, w której jego wzrok błądził. Oparcie znalazł dopiero w szarej grani wieżowców na rogu Lotników. Zapaliło się zielone i przeszedł na drugą stronę.

– Czerwone elemy - jego własny, ochrypły głos, brzmiał obco, jakby dobiegał ze studni. Rozwijając powoli folię z pudełka wpatrywał się bezwiednie w płamę na chodniku. Dopiero gdy wkładał papierosa do ust, w ciemnym kształcie rozpoznał zakrzepłą krew. Zapalił i zaciągnął się. Zamglone Słońce było już wyżej, nad blokami. Właściwie powinien cofnąć się na przystanek i złapać tramwaj. Po chwili



📷 Krzysztof anin Kuzko

wahania ruszył jednak w przeciwną stronę. Szedł Puławską w szpalerze jesionów. Światło w ich półmroku było zielonkawe, odbijało się od śliskiej, połyskliwej kory. Szedł pomiędzy nimi jak w wąwozie. Nad głową miał przyklejone na gałęziach ogromne pąki, już gotowe do obudzenia się. Jak granaty z opóźnionym zapłonem.

\*

To było o tej samej porze roku. Ile lat temu? Nie pamiętał. Nigdy nie mógł sobie przypomnieć, tak jak nigdy nie potrafił przypomnieć sobie jej twarzy, gdy była daleko. Już od dłuższej chwili słysząc było dzwonek na przejeździe, czerwone światła ostrzegawcze migały monotonnie. Dawno przejechał pospieszny do Terespoła, podobnie niebiesko-żółty ekspres kijowski jak zawsze ciągnący za sobą smugę smrodu z kibla. Pociągu jednak nie było. Ludzie na peronie robili się już trochę niecierpliwi, ale bez przesady. W końcu to dopiero pięć minut. Krążyli tylko trochę szybciej między krawędzią peronu a płotem całym brązowym od rdzawego nalotu z torów. Wychylić się w lewo, sprawdzić, czy nie widać świateł pociągu, wychylić się w prawo, dla równowagi, w stronę mającego na horyzoncie wiaduktu w Rembertowie. Potem oprzeć się o płot, na chwilę popatrzeć na samochody pędzące okuniewską szosą. I z powrotem do krawędzi peronu. Jemu się nie spieszyło. Nie spieszyło mu się wcześniej, gdy z chłopakami z wojskowego osiedla dojeżdżał do

szkoły skierniewickim pociągiem parę minut po siódmej. Nie było różnicy, czy stali na peronie, czy siedzieli na rozkładanych siedzeniach w ostatnim przedziale drugiej jednostki elektrycznej. Razem z pijącymi puszkowe Królewskie facetami dojeżdżającymi do pracy na Grochów i Żerań, z podobnymi do nich samych kolegami z Mińska, Sulejówka i Halinowa. Razem z grubymi babami, które ściskając kraciaste torby chyba wierzyły, że to naprawdę przedział dla podróżnych z większym bagażem ręcznym. Poza tym, że w pociągu mniej wiało, to nie było różnicy, bo i tak gadali o tym samym. I tak samo oglądali się za siebie, czy w pobliżu nie ma sąsiadki, gdy sięgali po Marsa lighta, którym częstował ten, kto akurat miał pieniądze. Jazda pociągiem była tym samym, co stanie na peronie rano i siedzenie na ławce wieczorem. Więc nie było się dokąd spieszyć. Czas zaczynał się dłużyć dopiero wtedy, gdy rozstawali się w podziemiu Wschodniej, rozchodząc się do autobusów i tramwajów, które miały ich rozwieźć do techników, zawodówek i liceów. Nie spieszyło mu się także teraz, kiedy od trzech lat dojeżdżał na studia. Sam. Stał więc oparty o płot i przyglądał się ulicy po drugiej stronie torów. Dzieciakom idącym do szkoły. Dostawczym samochodom zjeżdżającym z bocznych uliczek w Głowackiego. Kobietom na czerwonych albo niebieskich składakach, którymi jechały pewnie do Delikatesów w Zielonej. Dziesięć minut spóźnienia. Wahadłowe ruchy na peronie nabierały tempa. Nie patrzył na nich. Nie patrzył też jednak na szare przedwiosenne niebo, na którym wisiał jeszcze blade, okrągły Księżyc. Palił papierosa. Pociąg jak zwykle pojawił się nagle, jakby znienacka. Z krótkim szumem, który przeszedł w jęk hamulców. Najpierw żółty, ciepły odbłask reflektorów po lewej stronie, zaraz potem pomarańczowoczerwona masa, która kształt zatraciła dawno temu w kurzu i graffiti. Twarze na tej samej wysokości po obu stronach ciemnej linii szyb. Rzucony papieros odbił się od tarczy koła, a potem spadł na tory.

W pociągu stanął jak zwykle na pomoście. Od



kiedy jeździł sam, nie wsiadał już do ostatniego przedziału. Nie było po co. Na pomoście nikt nie stał. Kiedy drzwi zamknęły się ze świstem i pociąg ruszył z nagłym szarpnięciem, zobaczył, że w obu skrzydłach po jego stronie nie było szyb. Został jednak, odsunął się tylko. Ale gdy pociąg przyspieszył, zimny wilgotny wiatr stał się nie do wytrzymania. Szarpnął drzwi przedziału. Jeszcze zanim wszedł, uderzyło go ciepło stłoczonych ludzkich ciał pomieszane z elektrycznym ogrzewaniem. Idąc przez środek nawet nie rzucił okiem w stronę wolnego miejsca pod oknem, między trzema kobietami wyglądającymi na nauczycielki. Poszedł dalej, w stronę przeciwnych drzwi. Ten pomost nie był pusty, za to szyby w drzwiach miał całe. Trzech kolesi grało na stojąco w karty. Pod kiblem rozmawiało dwóch facetów z wytartymi, wyblakłymi reklamówkami w rękach. Po drugiej stronie chłopak czytał gazetę o komputerach. Stał naprzeciw niego. Zaczynał padać deszcz zostawiając na szybie długie ukośne smugi kropel. Za oknem nie było widać nic poza cienkimi nitkami brzoź w zagajniku przy torach, jasnymi i ciemnymi plamami samochodów jadących szosą równoległą do pociągu. Odwrócił wzrok. Przez szybę w drzwiach spojrzał w głąb przedziału. I wtedy ją zobaczył.

\*

Do tramwaju wsiadł na Niedźwiedziej, jeden przystanek od jego własnego. Pasowała mu czwórka albo dziewiętnastka. Czekał na tramwaj patrzył na kałużę, która jak zawsze po deszczu zalewała cały chodnik. Zeschłe liście i brązowa, zeszłoroczna trawa pod powierzchnią wody nabierały życia. Ich kontury były niezwykle ostre i wyraźne. Widać było każdą żyłkę na blaszkach liści, które znieruchomiały przypominały wiecznie młode ciała topielców. Albo złote monety, angielskie gwineę i francuskie luidory w otwartych kufrach w ładowniach zatopionych statków. Kiedy przyjechała rozklekotana czwórka, stanął na końcu drugiego wagonu. Przed oczami

umykała mu szeroka ulica Puławska.

\*

Razem z koleżanką i jakimś kolesiem w dresach stała w przejściu tej części przedziału, gdzie ławki są tylko z jednej strony, a z drugiej ściana od kibla. Być może ściągnęła jego wzrok sposobem, w jaki odrzucała głowę, gdy się śmiała, a śmiech ten wydawał się dobiegać wyraźnie poprzez gwar rozmów, poprzez szum pociągu i zamknięte drzwi. Jej gesty były przy tym obszerne, trochę zbyt obszerne. Nie znał jej. Nigdy jej nie widział w tym pociągu ani w żadnym innym. Może niedawno się przeprowadziła? Ale ludzi, z którymi jechała, też nie znał. Więc może była z Mińska. Popatrzył w okno. W górze mignęła niebieska plama wiaduktu linii wołomińskiej. Pociąg był jeszcze rozpedzony, ale już za chwilę, na wysokości wykładanego kocimi łbami kręgu pętli autobusowej i tablicy "Warszawa" zaczął gwałtownie zwalniać. Znow na nią spojrzał. Była wysoka, dużo wyższa od swojej koleżanki. Podkreślały to jeszcze jej włosy. Długie i proste farbowane (chyba) na rudo. Wypuściła je związane z tyłu spod białej czapki adidas z granatowym daszkiem. Jakiego koloru ma oczy, nie mógł dostrzec, ale widział, że są ciemne. Jej usta i w ogóle rysy twarzy były ostre, niemal wulgarne. Ale nie wulgarne, bo łagodziła je biel miękko zarysowanych policzków. Wlokący się przez Rembertów pociąg mijał ceglane, piętrowe domy, kolejne rozjazdy i semafony, opuszczoną nastawnię z wybitymi szybami i wyłupionym reflektorem, a on przesuwiał po niej wzrok. Od włosów koloru rdzy, wzdłuż jej ciała w błękitnej ortalionowej kurtce, do ud w granatowych dżinsach. I z powrotem. W górę. Pociąg przejechał obok pomnika z orłem wzbijającym się do lotu na rogu Cyrulików i Wieczorkiewiczza, po czym wolno, jakby ostatnim wysiłkiem, wtoczył się na peron. Drzwi rozsunięły się z sykiem. Do wnętrza wpadło deszczowe powietrze wraz z miarowym odgłosem dzwonka na przejeździe. Takiego samego

jak u nich w Wesolej. Do przedziału, w którym stała, wsiedli ludzie i wówczas z otwartych drzwi dobiegł go rozbawiony głos " ...no i wtedy wyszliśmy z Promenady i poszliśmy kładką...". Nie wiedział jednak, czy należał do niej, bo zasłoniły ją plecy wchodzących. Wyjrzał przez otwarte drzwi. Z drugiej strony peronu odjeżdżał pociąg w przeciwnym kierunku. Kolesie stojący w otwartych drzwiach gdzieś w jego połowie opluli faceta idącego wzdłuż peronu. Potem pokazali mu fuck off. Ich twarze były jak surowe ciasto, wzrok przeslizgiwał się po nich nie znajdując punktu zaczepienia. Syk zamykanych drzwi i szarpnięcie ruszającego pociągu. Asfalt na przejeździe był mokry od deszczu.

Obie ręce miał w kieszeniach. Patrzył na obrazy przesuwane się za zachlapanym oknem. Puste bocznicie dziesiątkami równoległych linii sięgały aż po las, w który wrzynały się niczym zatoka morza. Potem gdzieś w górze przesunął się wiadukt Żołnierskiej. I zaraz po nim handel żwirem na hałdzie. Gdzieś daleko przed nimi białymi i czerwonymi pasami majaczył komin Kawęczyna, a pociąg jechał już w tym miejscu równym, jednostajnym tempem. Z lekkim szumem elektrycznych silników. Z cichym stukotem kół, w który wkładały się strzępy rozmów. Człowiek się starał, zapierdalał dzień i noc, na pierwszą, drugą zmianę, po każdej nocce zostawał jeszcze, mył maszynę... I co, jak podziękowali? Taa, Wują rzuca cztery damy i grzeb teraz, he,he. Jakbyś dalej chciał ten telefon, to przyjdź do szkoły, dzisiaj najlepiej. Mnie to tylko raz pochwalił, ale nie ten. Ten drugi. Stanął nade mną jak pasowałem kolory. Myślał, że będę papier marnował. A tu chuj - jeden arkusz puściłem, popatrzyłem na pasery, poprawka i lecimy. Skurwiel cały czas mi się na ręce gapił. Ale potem powiedział, że ja jeden się tam do czegoś nadaję. A masz go jeszcze? Nie, ale mam inne. Ci kolesie mojego brata, czaisz ich, z Miłosnej, dali, żeby opchnąć. Radia też mam. Nie miał wyjścia, musiał powiedzieć, jak dobrze robięś. Dobra, teraz królem jedziemy. Co, kurwa, musiał? Jego drukarnia, to nic nie musiał, może se robić, co chce. I gadać. Twój brat coś już nie je-

ździ do Dębego na dyskoteki po tamtym razie. Tak Włodek, ale jak tak można, jak ze mną zrobili? Raz człowieka złapali pijanego i od razu z roboty na mordę wyrzucić? Wiesz, tam teraz jest nowa ochrona, nie ci sami kolesie. Stał z rękami w kieszeniach, a doskonale znane, tyle razy już widziane obrazy odkładały się kolejno na siatkówce oka, potem gdzieś z tyłu głowy. Czarny - wąski i mokry pas ulicy Strażackiej, która zbliżała się ku torom od jakiegoś czasu i teraz biegła już równoległe do pociągu. Potem skrzyżowanie z Chełmżyńską, gdzie stał dom z czerwonej cegły, szarego cementu i mozaiki ułożonej z kolorowej kostki, o którym zawsze myśleli, że to zrujnowany zamek, a potem nazywali Cygańskim Domem. Dopóki nie przyjechali tu któregoś dnia w podstawówce i na gapę. Na zamkniętym przejeździe czekało 145 do Ząbek. Żółć i czerwień blach Ikarusa przegrywały z deszczową pogodą, przybladłe w szarym i ciężkim powietrzu. Zaraz za złomem Strażacka przeszła w błotnistą drogę. Samochody widać tu było rzadko, jeśli już to jadące powoli w dużych odstępach tylko w stronę Pragi. Karawana, która musi przejść przez ruchome piaski, by dotrzeć na względnie stały grunt na Utracie. Ostrożnie omijały dziury pełne wody, kawały cementu, rozprute czarne i niebieskie worki ze śmieciami, gruz, zardzewiałe pralki, lodówki i krzesła bez oparc, opony, wdzierające się na drogę chaszczce. Z dwójga możliwych, na rozjeździe pociąg wybrał tory biegnące dołem. Za oknem po drugiej stronie widać już było kobiece więzienie na Olszynce opasane kolczastymi drutami i kłębowiskiem krzyżujących się szyn. Dalej trzy białe bloki, o których mówiło się, że mieszkają tu tylko gliniarze i menele. Wciśnięte tak samo jak pierdel między nasypy torów i lokomotywownię, z widokiem na ogródki działkowe, na których nikt już nic nie uprawiał, zwłaszcza od czasu, jak znaleźli tu cztery trupy praktycznie bez głów i siekierę obok. W górze powoli sunął ekspres krakowski albo poznański wracający na Olszynkę. Stał z rękami w kieszeniach, jak zwykle. Tylko trzewia miał jakieś inne, zastygłe i

znieruchomiała. Odczuwał je jako obce. Może ścisnęło je to samo, co kazało mu w regularnych odstępach odwracać wzrok od okna w drzwiach i spoglądać na nią, stojącą w głębi przedziału. Za każdym razem trwało to ułamek sekundy. Za każdym razem była w innej pozie. Seria fotografii robionych w błyskach flesza. Wąskie brwi zakreślone łagodnymi łukowatymi liniami. Wisiorek ze sztuczną perłą w półokrągłym wycięciu bluzki. Długi, głęboko żłobiony szew biegnący przez całą długość granatowych džinsów. Ruch, jakim poprawiała kosmyk włosów opadających na policzek, tak, by zakrywały krótką, ale wyraźną bliznę na wysokości ucha. Już dawno minęli Utratę i rozjazd na wysokości Podskarbińskiej. Pociąg jechał teraz szerokim łukiem, by po chwili wjechać na ostatnią prostą. Coraz intensywniejsze ruchy ludzi wstających z siedzeń, zbierających z półek torby, podnoszących parasolki. Ogromny blok przy Alei Tysiąclecia pojawił się najpierw frontem do nich, potem został z boku. Po chwili już było je widać. Długie perony Wschodniej.

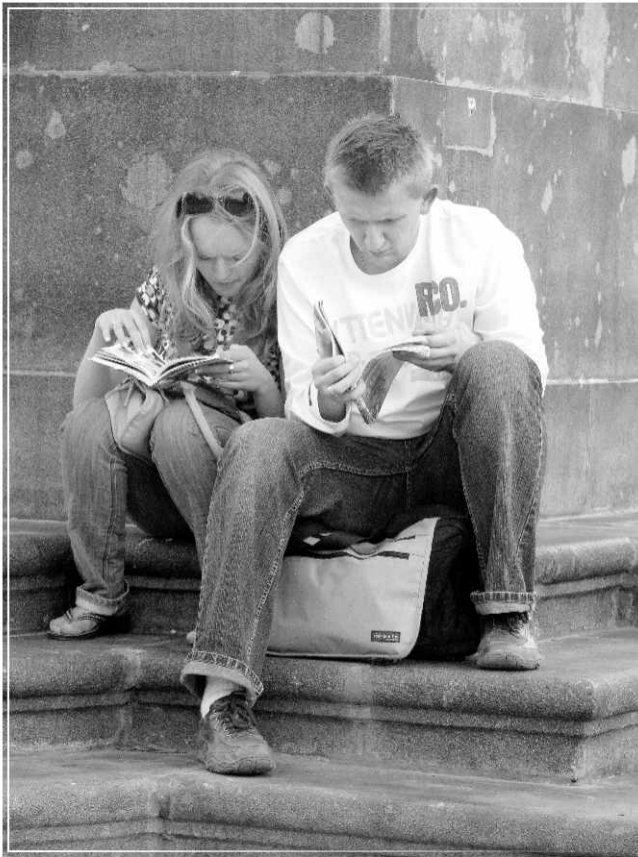
Niewielu ludzi tu wchodziło do pociągu, sporo za to wysiadało. Został sam na pomoście. Stał po drugiej stronie i wyjrzał przez otwarte drzwi. Deszcz już nie padał, ale peron był mokry. Woda zbierała się w zagłębieniach asfaltu, spływała z dachów wiat i budek dyżurnych ruchu. Kobiety z parasolkami rozłożonymi na wszelki wypadek, mężczyźni z saszetkami, reklamówkami i teczkami, dziewczyny przyciskające łokciami torebki do ciała, chłopaki z plecakami na jednym ramieniu, z rękami w kieszeniach dresów i spodni o niskim kroku. Figurki przesuwające się na tle pociągu do Siedlec, który właśnie wjeżdżał na sąsiedni peron. A potem znikali kolejno w zejściu do tunelu. Na odległych peronach po drugiej stronie czekały już gotowe do odjazdu ekspresy zaprężone w brązowe i zielone elektrowozy. Na razie jednak żadnego ruchu. Jedynie popiół strzepywany z okien przez maszynistów. Tylko nieruchomy siedlecki pociąg z czarnymi prostokątami otwar-



 Krzysztof anin Kuzko

tych drzwi i czarnymi kwadratami zamkniętych okien. Ludzie w nim wyglądali, jakby jechali już całą noc i właśnie zbliżali się do celu. Tylko facet na ławce podnoszący do ust butelkę Królewskiego. Tylko śmiech kolejarzy palących papierosy przy zejściu do podziemi. Trwało to wszystko chwilę. Dłuższą lub krótszą. Równo z dźwiękiem sygnału do odjazdu do pociągu wpadł facet ręką przytrzymujący sobie na głowie kraciasty kapelusz. "Przez Ochotę jedzie?" Nie chciało mu się odpowiadać nawet skinieniem. Ale tamten chyba na żadną odpowiedź nie czekał, bo zanim jeszcze wybrzmiały jego słowa, już był w kiblu głośno zatraskując za sobą drzwi.

Teraz już jej nie widział. Zwłaszcza, że zaraz zrobił się tłok przesłaniający wszystko, gdy na Stadionie wsiadły kobiety objuczone wielkimi torbami w kratę, z którymi miały rozjechać się na handel po całej Warszawie. Najpierw jednak wjechali na wiadukt, pod którym błyszczała ulica Targowa - żółtymi światłami samochodów stojących w korku na Pragę, błękitnymi iskrami spod pantografów tramwajów, czerwonymi światłami samochodów stojących w korku na Grochów. Na chwilę jeszcze, bardziej w wyobraźni niż naprawdę, zapachniało Wedlem, na chwilę jeszcze pojawił się teatr i cała ta feeria zgasła. Jechali teraz pośród kamienic bez tynku rozrzuconych na tyłach Zamoyskiego i Sokolej. Spomiędzy krzaków za oknem i ludzi na pomoście mętnie przeblyskiwały kolejne odnogi



📷 Grażyna Hankiewicz

portu. A potem był Stadion. Wietnamczy-  
cy ładowali kartony do citroenów i polo-  
nezów stojących wprost na peronie. Potem  
korona tonąca w morzu kolorowej blachy  
falistej. Pociąg nie jechał wcale szybko, na  
pewno nie przyspieszał. A jednak takie  
miał wrażenie. Z szumu rozmów nie dało  
się już wyodrębnić zdań ani wyrazów.  
Drzewa i krzaki po obu stronach stały się  
dwoma ścianami zielonego tunelu. Co  
chwila widok za oknem znikał rozmazy-  
wany brudną smugą pociągu z przeciwnika.  
Bez słowa podał bilet grubemu, rudemu, a  
właściwie łysemu kanarowi w skórce, z  
identyfikatorem Renomy na szyi. Ten  
oddął mu go również bez słowa. Gwar  
zdawał się narastać, zielone gęste krzaki  
przeszły w żółtobrazowe, suche i rzadkie. Z  
przeciwka przemknął kolejny pociąg i  
wyjechali na otwartą przestrzeń. Jakby z  
czegoś się uwolnili, od czegoś oderwali.  
Stukot kół na metalowym moście zagłu-  
szył wszystko. Przed nimi było Śródmie-  
ście, którego stare i nowe wieżowce sta-

piały się z płaskim, szarym niebem. Na  
mostach po obu stronach samochodu  
stały nieruchomo, na Poniatowskim  
przesuwały się połyskujące pantografy  
tramwajów. Patrzył w dół, na rzekę. Jej  
woda w kolorze mętnej, jasnej zieleni nie  
przypominała wody w żadnej innej rzece.  
Raczej w morzu - pomyślał. Drugi brzeg.  
Most przeszedł w wiadukt nad nitkami  
Wisłostrady. Faceci w pasiastych piżamach  
i kapciach mimo zimna i deszczu palili  
papierosy na balkonie szpitala na Solcu.  
Wiadukt coraz bardziej zbliżał się do  
Poniatowskiego. Jak zwierające się nożyce.  
Już dało się odczytać numery tramwajów  
jadących z Grochowa do Śródmieścia i  
dalej. Już spośród zielonych, choć jeszcze  
pozbawionych liści drzew widać było  
wiaty nad peronami Dworca Powiśle.  
Rozpostarte skrzydła potwornego motyla.  
Albo żebra ogromnego zwierzęcia. Kątem  
oka zobaczył ją pośród ludzi od pewnego  
czasu tłoczących się na pomoście.

Być może dzisiaj chciałby myśleć, że byli sobie  
przeznaczeni, że kochał ją przynajmniej od  
tego momentu gdzieś w Rembertowie.  
Wiedział jednak, że to nie byłaby prawda.  
Podobnie jak nie mógłby zaprzeczyć, że  
gdy wchodziła schodami na Aleje, patrzył  
się głównie na jej tyłek.

Od tej pory spotykał ją w porannych pociągach.  
Być może widział ją już wcześniej,  
dopiero teraz jednak zaczął zauważać.  
Rano stawał na peronie tak, by wsiąść do  
tej jednostki, w której jechała wtedy -  
drugiej od czoła pociągu. Czasem to  
skutkowało, częściej nie. Może nie przy-  
wiązywała wagi do miejsca w pociągu,  
który od Miłosnej i tak był pełny. Może  
jeździła o różnych porach. On jednak po-  
wtarzał swój rytuał stawania na peronie,  
wsiadania i rozglądania się podczas każdej  
jazdy do Warszawy. Kiedy ich spojrzenia  
się krzyżowały, odwracał wzrok. I zapo-  
minał o niej, gdy tylko wychodził z dworca  
na powierzchnię. Szedł dalej prosto  
Alejami, a ona skręcała w stronę parku.  
Przez myśl mu nie przeszło, by spróbować  
spotkać ją w popołudniowym, powro-  
tnym pociągu. Czasem tylko, kiedy po  
północy wracał do domu na wpół pijany  
piwem przez cały wieczór pitym na ławce,



wracała mu przed oczy jej blizna i ruch, którym próbowała ją zasłonić.

Sam więc nie wiedział, dlaczego to zrobił. Być może wrażenia z porannych pociągów skumulowały się wreszcie na tyle, by przekroczyć próg. A może czarę przepelnił tamten dzień? Nagle odwróciła się na schodach, jakby wyczuwając jego spojrzenie, a raczej wszystkie spojrzenia tyłu tygodni. Przez ułamek sekundy, gdy patrzył jej w oczy, zdołał dostrzec, że są brązowe. Potem odwróciła wzrok z wahaniem, w którym było coś z oczekiwania. Pewnego sobotniego popołudnia kilka dni później wskoczył do pociągu w stronę Mińska. Kolejnego, który przejechał obok nich, od kiedy siedzieli na peronie. Nie zastanawiał się, dokąd jedzie. Więc nie skłamał, gdy tylko wzruszył ramionami odpowiadając Grubemu, który krzyknął "Student, kurwa, co robisz?" Jeszcze tylko "Pojebany!" wypowiedziane zrezygnowanym głosem i drzwi się zamknęły.

Nie pojechał daleko, zaledwie do Miłosnej. Na peronie było zimno, chyba jeszcze zimniej niż w Wesolej. Zapalił papierosa. W butelce miał jeszcze trochę piwa. Dopił je i poszedł w stronę przejścia pod torami. Wtedy zobaczył, a raczej wyczuł, że ktoś mu się przygląda. Dwóch kolesi stało opartych o płot. Byli niewyraźni. Pospolite rysy wygładzone jeszcze alkoholem. Ubrania nosili jak uniformy czy czapki-niewidki - skulone, przyczajone sylwetki rozpuszczają się w nich i ginęły nie pozwalając wzrokowi wyodrębnić ich z tła. Niższy trochę się wyróżniał rudymi, krótko przystrzyżonymi włosami i twarzą, w której było jakieś tchórzliwe okrucieństwo. Przyglądali mu się w ciszy zamilkłych rozmów. Peron był pusty. Szedł powoli, cały czas zwalniając kroku. Patrzył na nich. Kolejno. Gdy już prawie stanął w miejscu, opuścili wzrok, podejmując na nowo rozmowę nerwowo i bez sensu. Zszedł do tunelu. Stał niezdeterminowany, w którą stronę pójść. Nie znał ani Sulejówka, ani doklezionej do niego Miłosnej. Nigdy tu nie jeździł, o nikim takim też nie słyszał. Mimo że to było tylko parę kilometrów i pięć minut pociągiem. Jeździło się do Warszawy, poza

tym do Rembertowa. W drugą stronę do Mińska. Nawet do Okuniewa i na glinianki do Kawęczyna. Ale do Sulejówka? Chyba że po buty. Ale to raczej dziewczyny. Teraz jednak tu przyjechał. Być może coś mu podpowiadał instynkt człowieka z pociągu. Poszedł w lewo, ulicą pośród karłowatych domków. Było pusto. Nawet bar przy stacji miał na drzwiach kartkę "Jestem w sklepie obok". Ulica uskokiem zbliżyła się do torów, by za moment definitywnie się od nich oddalić. Bazar też był pusty. Tylko rozdeptane błoto po niedawnych deszczach. Kilku maruderów wkładających skrzynki do żuka. A przy bramie stało jeszcze kilka zardzewiałych składaków z przyczepionymi koszami. Szedł teraz pełną drogą starając się omijać kałuże mętnej brązowej wody. Po lewej ręce miał domy, po prawej ni to las, ni to park. Między drzewami migwały koszulki facetów grających w piłkę na stadionie. Zrywające się co jakiś czas okrzyki mieszały się z głuchymi odgłosami kopnięć. Las nie miał poszycia, drzewa wyrastały wprost z gołej ziemi. Szedł powoli, omijając pozostałe po zimie psie gówna. Nie spotkał nikogo ani na tej ulicy, ani na następnej, ani na kolejnych. Co jakiś czas dochodził do szosy okuniewskiej, po której w równym tempie jechały samochody w stronę Węgrowa i Stanisławowa. Odbijał się od niej jak od muru i znów wracał na błotniste ulice, gdzie zza płotów niewykończonych domów dobiegał gwar rozmów toczonych po ukraińsku. Niekiedy spotykał swoje własne ślady. Dochodził aż do torów i zawracał, by za jakiś czas znów napotykać szosę. Po pewnym czasie zniosło go w lepsze okolice, gdzie domy były już zbudowane i otoczone wysokimi murami, a ulice wyłożone miękkim asfaltem albo kostką. Tu nie było słycać ukraińskiej mowy, lecz ujadanie psów. Po chodnikach spacerowały pary dźwigające torby zakupów z Delikatesów. Wciąż jednak był w kleszczach między torami a szosą. Poszedł w stronę stacji. Naprzeciw niego szybkim krokiem, pojedynczo albo parami szli ludzie z pociągu, który słycać było jakiś czas temu. Nawet mu się specjalnie

nie przyglądali. Im bliżej było stacji, tym bardziej pod butami chrzęściło potłuczone szkło. Doszedł do torów i skręcił. W sklepie kupił piwo - jeszcze ze starą etykietą ze sfinksem, po dwa złote plus butelka. Usiadł na ławce. Za plecami miał pusty pawilon meblowy, przed sobą wyjście z tunelu pod torami. Piwo otworzyło się z cichym sykiem. Pierwsze łyki zmyły suchy smak papierosów. Przywróciły pamięć alkoholu pitego wcześniej, jeszcze z chłopakami na peronie. Kolejne łyki uderzały w ściany pustego żołądka, jak pompa wypychając krew do góry. Do serca i głowy. Wracła mu świadomość. Jak świt ustawiający sprzęty w pokoju z powrotem na swoich miejscach. Nie wiedział, czego szuka, więc niczego nie znalazł. Albo nikogo. Właściwie powinien iść na stację i jechać do domu. Na pewno nawet. Każdy łyk tę pewność pogłębiał. A jednak po ostatnim poszedł do sklepu po następną butelkę. Potem zapalił papierosa i zszedł do tunelu, by zanurzyć się w labiryncie ulic po drugiej stronie.

Kilka godzin później szedł w ciemności wzdłuż torów do Halinowa. Zaczynał padać deszcz.

\*

Trzask zapalniczki uderzającej o draskę. Główna rozżarzyła się powoli i po chwili zapaliła się z cichym sykiem. Podniósł ją do twarzy osłaniając palcami, chociaż nie było wiatru. Słońce świeciło zza grubej warstwy szarych chmur. W takim świetle płomień zapalniczki nie różnił się wiele od przykurzonego asfaltu. Zapalił papierosa. Kolejnego od czasu, gdy wysiadł z tramwaju na Placu Zbawiciela i poszedł Marszałkowską obok Luny. A potem zszedł schodami na Trasę Łazienkowską. Zgasił zapalniczkę i rzucił ją na ziemię. Spalona czarna część rozpadła się na trzy kawałki uderzając o asfalt. Wypuścił kłęb dymu. Samochody po drugiej stronie ulicy stały w korku. Rzeka czerwonych świateł stopu. Te bliżej niego jechały szybko - wynurzały się z tunelu i pędziły w stronę mostu. Między nimi autobusy jak wielkie ociężałe zwierzęta z sapaniem zajeżdżające na przystanek. Plastikowe

neoplany i ikarusy, których grube blachy pokryte były warstwą kurzu pomieszanego ze smarem. To dawało im realność, cielesność, której chwytal się jak brzytwy. Jak dymu z papierosa. Palił powoli, patrząc na kolejne autobusy zatrzymujące się naprzeciwko. 138, 520, 187, 182 i znów 520. 408 ciągle nie było. W ręce miał już prawie sam filtr.

\*

Rozpoznał ją z daleka. Tak jak było umówione, stała pośród drzew obok samotnego grobu. Niebo ciągle było pokryte chmurami. Na razie jednak spokój i tylko kołyszące się korony drzew zapowiadały konfrontację i rychłe rozstrzygnięcie. Starcie między wiosennym Słońcem a zimowymi jeszcze deszczami, które od tygodni nasączały ziemię kwaśną wodą. Na razie spokój. W cienkim płaszczu przewiązanym szerokim paskiem była podobna do siostry, chociaż nie nosiła trwałej ondulacji, lecz długie siwe włosy związane w kok. Stała tyłem do niego z opuszczoną głową. Może patrzyła na kwiaty położone na grobie. Może na krzyż w miejscu, gdzie powinna być tabliczka z nazwiskiem. A może miała zamknięte oczy, pozwalając, by pod powiekami sączyło się blade światło Słońca. Idąc umyślnie nadeptywał patyki na ścieżce. Żeby jej nie przestraszyć. Mimo to odwróciła głowę dopiero, gdy był już bardzo blisko. Jej jasnoszare tęczęwki były niemal nie do odróżnienia od białek oczu. Wpatrywała się w niego bez słowa przez dłuższą chwilę. To on przerwał milczenie:

- Siostra pani powiedziała, że...
- Tak, wiem - przerwała mu gwałtownie. Jej szare oczy nie zmieniły przy tym wyrazu. Otoczone były siatką delikatnych zmarszczek, o jakich się mówi, że mają je tylko ludzie, którzy przez całe życie często się śmiali. Te jednak wyglądały, jakby kiedyś były dużo głębsze, ostrzejsze, jakby coś wyłobiło je dawno temu, jeszcze we wczesnej młodości. I tylko kilkadziesiąt kolejnych lat je wygładziło. Sprawilo, że złagodniały.
- Mam to dla pana - Z kieszeni wyjęła niewielki przedmiot. - Proszę, niech pan

weźmie - dodała widząc, że on wciąż patrzy jej w oczy. Wtedy spojrział w dół. Na wyciągniętej dłoni trzymała okrągłe pudełko. Białe, bez żadnych napisów, tylko ze złotym, choć już prawie startym paskiem wokół pokrywki. Wziął je od niej nieśmiało i przez jakiś czas obracał w dłoni.

- Czy to działa? - spytał w końcu. Przez twarz staruszki przebiegł skurcz, trwający okamgnienie grymas smutku. Odwróciła wzrok. Nie uciekając, lecz próbując jeszcze raz zebrać te myśli, które zdawały się być już na dobre poukładane, a teraz rozlewały się strumieniami. Milczała więc. W oddali odezwał się ptak. Potem zawył pociąg. Pierwszy raz cicho, gdzieś daleko, po chwili drugi raz, bliżej i głośniejszy. Kiedy przejechał z łoskotem, kiedy umilkł ciągnięty przez niego szum, ptaka nie było już słychać.
- Pan mówi o tym grobie - powiedziała cicho wciąż patrząc w bok. Po chwili zaczęła mówić dalej. - To nie jest mój mąż. Znalazłam go dawno temu, zaraz po tym, jak się tu przeprowadziłam ze Szczecina. A może to Jadzia mi go pokazała? Już nie pamiętam. W każdym razie przychodzi tu czasem, kiedy nikogo nie ma. Zresztą poza mną chyba nikt tu nie przychodzi. Pokiwał głową na znak, że rozumie. Ona jednak mówiła dalej, teraz patrząc mu już prosto w oczy:
- Może nawet ma pan rację, może wyobrażam sobie, że to jest jego grób - zmrużyła oczy, żeby uczynić wyraźniejszymi obrazy, które do niej wracały - bo tamtego nigdy nie odnalazłam. Widzi pan, wtedy, w grudniu siedemdziesiątego roku, grzebali ich po kryjomu. W cudzych grobach, pod fałszywymi nazwiskami. Nawet datę śmierci wpisywali nieprawdźliwą. A on, ten, dla którego dawno temu kupiłam tę maść od radzieckiej turystki, nie był nawet moim mężem.
- Odruchowo spojrział na jej prawą dłoń. Nie miała obrączki, tylko srebrny, wygładzony dotykiem pierścienek z szarym kamieniem. Ukucnęła i zaczęła zbierać z grobu mokre od ciągłych deszczów zeszłoroczne liście. Jej głos był teraz spokojny,



 Paweł Żochowski

- już wszystko wróciło na swoje miejsca.
- Mieliśmy wziąć ślub w marcu. Więc nawet nie wpuścili mnie na tę salę, gdzie rodziny identyfikowały zwłoki.
- W ręce wciąż ścisnął pudełko, które od niej dostał. Plastik zrobił się już ciepły i lekko wilgotny od potu. Drugą rękę trzymał w kieszeni kurtki. W palcach obracał wyciągniętego z paczki ostatniego papierosa. Bardzo chciało mu się go zapalić. Staruszka porządkowała grób i jakby zapomniała o jego obecności. Gdzieś za torami bawiły się dzieci. Nawoływali się menele, szczekał pies. Chciał odejść, ale nie wiedział jak.
- Ma pan może zapalaki? - wstała otrzępując dłonie z piasku. - Chyba zostawiłam w domu.
- Pomógł jej zapalić znicz. Stali przez chwilę patrząc na ogień i dym biegnący czarną linią pionowo w górę. Wtedy zapytała:
- A pańska - zawahała się. - Czy nie ma już żadnej nadziei?
- Podniósł wzrok i długo na nią patrzył.

\*

Autobus na pętli stał pusty. Oprócz niego i kierowcy nie było w nim nikogo. Co jakiś czas przykładał skroń do szyby. Była zimna. Inaczej niż białe okrągłe pudełko. Ścisnął je w dłoni dokładnie tak, jak wcześniej musiała to robić staruszka. Nie odpowiedział jej nic. Odszedł szybko, jakby coś ukradł. Bo co mógł jej odpowiedzieć? Że nigdy nie było nadziei. Dla niej tak samo, jak dla niego? Że umarła dawno temu? Umarła prawdziwie, bo przecież wtedy,

gdy wrócił z Sulejówka po bezskutecznym jej poszukiwaniu, przestała dla niego istnieć. Jakby wyleczył się z choroby, po której nie zostaje żaden ślad. Żadna blizna. Tylko mgliste wspomnienie majaków w gorączce. I nie przyszła mu na myśl ani razu przez te wszystkie lata, gdy zajął się drobną krzątaniem i miał wiele kobiet. Skończył studia i wyprowadził się do Warszawy. Przestał jeździć pociągami. Umarła. A potem zmartwychwstała. Szedł środkowym peronem na Śródmieściu. Przypadkiem. Czekał na kumpla, który miał przyjechać pociągiem z Błonia. Oglądał książki po złotówce wyłożone na stoliku przy kiosku. Nagle usłyszał głos za plecami:

– Gubisz...

Odruchowo spojrzął pod nogi, czy coś nie wypadło mu z plecaka. Często zapominał go zapiąć.

– Gubisz mnie.

Odwrócił się. To była ona. Zmartwychwstała.

A on wraz z nią. Wynajęli mieszkanie.

Kupili do niego tylko stół. No i to ogromne łóżko wypełniające cały pokój.

Spieszyli się, jakby wiedzieli. Ale nie wiedzieli. Nikt nie wiedział. Dziś w nocy umarła. Po raz drugi.

Kierowca zapalił silnik i zgłosił radio. Za ostatni grosz kupię dziś chociaż cień tamtych dni. Autobus przetoczył się dookoła ronda. Żołnierze na wartowni przy bramie mieli twarze rozmazane deszczem. Za ostatni grosz wino z zielonych lat chce znów pić. Na kolejnych przystankach wsiadali ludzie coraz bardziej przemoczeni. Krople wody na ich twarzach i włosach przyciągały jego spojrzenie jak magnes. Włożył pudełko do kieszeni i w tym momencie jakby zaczął się oddalać. *Todas las promesas de mi amor se iran contigo, me olvidarás, me olvidarás. Junto a la estacion yo llorar igual que un nino, porque te vas, porque te vas.* Na Wieczorkiewiczza, która wtedy nazywała się już Chruściela, jeszcze dochodziły go głosy gnojaków wracających z liceum, ale gdy autobus skręcił w Strażacką, na dobre dopadł go sen. Ten sam, który opuścił go, gdy wszystko się zaczęło, dając w zamian krótkie odrętwienia. A i to z rzadka. W

tym śnie krople deszczu za oknem stapały się w wielką wodę. Jezioro szare i monotonne. Białe piasek. Szyszki spadające z sosen. Autobus wspinał się na wiadukt nad torami otwoczkimi. Przytuleni, zamysleni, zakochani idą brzegiem - ku jesieni.

\*

Było już ciemno. Nie wiedział, od jak dawna siedzi u wezłowania łóżka, ale to musiało trwać już dość długo. Kiedy wrócił do domu, było jeszcze jasno. Widać było jej bliznę na policzku pod kosmykiem włosów. Skóra na dłoni, gdy ją brał w swoje ręce, była zaróżowiona i wcale nie zimna. Tylko usta miała jeszcze bledsze niż zwykle. Wiedział, co ma robić. Na nocnej szafce stało białe pudełko. Otwarte. Wypełniała je żółtawa tłusta maść. Obok leżał nóż do krojenia chleba. Pod łóżkiem czekała miednica. Staruszka, którą podслуchał w tramwaju, mówiła wyraźnie. Maść ma stuprocentową gwarancję, w końcu wykradzono ją z mauzoleum Lenina. Ciało się zachowa, trzeba je tylko dokładnie posmarować. No i pilnować, żeby najpierw wypłynęła cała krew. Wiedział, co ma robić. Kiedy jasne stało się już, że nie ma ratunku, zaznaczył w atlasie wszystkie kościoły, do których można dojechać czwórka. Staruszki nie lubią się przesiadać. Potem spisał wszystkie msze. Stał na mrozie i w odwilży po kolejnymi kościołami. Stawiał krzyżyki. Nie złościła się, że całe niedziele nie było go w domu. Chociaż pewnie wolałaby, żeby był przy niej. Chociaż pod koniec bardzo ją bolało. Wiedziała jednak, że nie mógłby utracić jej drugi raz. Że nie przeżyłby. Staruszka pojawiła się wreszcie w kościele na Dolnej. Był gotów klęknąć przed nią albo przyłożyć nóż do gardła. Wystarczyło, że spojrzął jej w oczy. Zgodziła się mu powiedzieć, jak spotkać jej siostrę z Rembertowa. A teraz siedział od kilku godzin u wezłowania łóżka i nie mógł się zdecydować. Zapalił świecę. Od kiedy umarła, nie używał elektrycznego światła. Płomyk oświetlił jej zamknięte powieki. Drgając zatańczył na policzku. W lewą rękę ujął jej dłoń. Przyłożył ostrze do zgięcia między kciukiem a palcem wskazu-



jącym. W momencie, gdy stal dotknęła jej skóry, wiedział już, że tego nie zrobi. Nie tylko dlatego, że nie mógłby jej zranić, nawet teraz. Zwłaszcza teraz. Nie mógł tego zrobić przede wszystkim dlatego, że to nie byłaby prawda. Nie mógłby żyć bez niej. Ale nie mógłby żyć wiedząc, że już nigdy nie zmruży oczu próbując dostrzec coś w oddali. Już nigdy nie ściągnie śmiechem spojrzeń wszystkich ludzi w tramwaju. Już nigdy nie spróbuje tym niezdatnym gestem ukryć blizny na policzku.

To przyszło nie jako olśnienie, iluminacja, lecz jako fala ogromnego cielesnego zmęczenia i ciemności przed oczami. Ale trwało tylko chwilę. Potem wiedział już, co robić. Potem wiedział już wszystko. Nie podniósł noża, który wypadł mu z ręki. Nałożył kurtkę. Wychodząc pocałował ją w usta.

– Zaraz wrócę.

Na szafce zostało otwarte pudełko z maścią i zapalona świeca.

\*

Szybko zbiegł po schodach. Musiał dostać się na Grójecką, do Maksymiliana. Dziwnego człowieka, który zawsze wyglądał jak clown, bo zawsze nosił spodnie w kratę i kraciastą koszulę jednocześnie. Rzadko się odzywał, kiedy pakowali razem gazety na Kłobuckiej, a potem wracali pierwszym porannym 192 przez uśpiony Służewiec. Kiedy już mówił, to o jeziorach w swojej okolicy. O tym, ile woda może mieć odcieni szarości. Maksymilian pochodził z jakiegoś małego miasta na północy. Którejś nocy wracał z wujkiem samochodem ze Stanisławowa. Jeździli tam po konserwy czy po coś. Gdzieś o drugiej nad ranem wjechali do Warszawy. Zaraz za tablicą była pętla autobusowa. Mały krąg wykładany kostką brukową. Była pusta. Tylko na ławce pod dachem siedział człowiek. Pił piwo. Maksymilian rozpoznał w nim kumpla, który zniknął kilka lat wcześniej. Nie zrobił nic. Przejechali przez Warszawę, a potem jeszcze kilka setek kilometrów do domu. Może myślał, że to sen? Przydrożny majak. Jednak kilka dni później pociągiem



Joanna Bukowska

z trzema przesiadkami przyjechał do Warszawy. Odnalazł Rembertów i pętlę. Siedział tam kilka godzin. Następnie kilka chodził po ulicach. Nie spotkał go. Pod wieczór pojechał na Centralny. Wysiadł z tramwaju i poszedł do hali. Ale nie kupił biletu. Minął tylko kasy i wyszedł drugim wyjściem. Potem zniknął, w którejś z ulic, Emilii Plater albo Nowogrodzkiej. Nie wrócił już na północ.

Pojechał tramwajem i na Odyńca złapał ostatnie 172. Wysiadł przy Hali Banacha i poszedł pieszo. Maksymilian już spał. Chyba nie sam. Otworzył mu bez okularów, w piżamie. W kratę.

– Wejdz, stary.

– Pożycz mi samochód.

– Przecież ty nie masz prawa jazdy

– Pożycz.

Maksymilian spojrzał mu w oczy i poszedł do kuchni. Po chwili przyniósł kluczyki.

– Stoi na Radomskiej.

\*

Położył ją na tylnym siedzeniu i przykrył kocem. Pod głowę dał jej jaśka, tego, bez którego nie umiała zasnąć. Z Wałbrzyskiej skręcił w Puławską, potem Łazienkowską do Wisłostrady. Dalej na północ w stronę Gdańska. W Płońsku odbił na Bydgoszcz. Nie wiedział, dokąd jedzie, znał tylko kierunek - północny zachód. Była noc, więc nie mógł nawet kierować się Słońcem. Drogi wybierał instynktownie. Na



📷 Joanna Bukowska

początku oslepiały go ciężarówki, potem samochodów było już coraz mniej. W końcu pozostał tylko monotony ruch wycieraczek. Minął Toruń i pojechał znów na Gdańsk aż do Świecia, gdzie skręcił na Chojnice.

\*

Świtało już, gdy zatrzymał auto na poboczu wąskiej drogi. Po deszczu nie było ani śladu. W dole, przez drzewa pozbawione liści, przebłyskiwała woda. Wziął ją na ręce i zaczął iść leśną drogą. Nad jezioro. Pod nogami szurały brązowe liście buków, drzewa nad nim miały już pąki. Zszedł na plażę. Zdziwiło go, że woda wcale nie szumi, jest nieruchoma. Szedł przez biały piasek, później przez wodę. Sięgała po kostki, potem po kolana i dalej. Jej długa biała sukienka oblepiała mu nogi.



## MARCIN BALICKI

\* \* \*

Pasuje do nas letni wieczór  
poza mną tyle samo stopni  
co w tobie

dopasowanie dojrzeje poza  
zgodną relacją marynarek  
do ulubionych fioletowych dodatków

dojrzeje w praniu  
suszeniu  
i gotowaniu

\* \* \*

chwila mocno napięta  
zanim  
odejdiesz w tło

na drugim planie  
zasłoni cię drzewo i scenka rodzajowa,  
na pierwszym  
czas

## Film drogi

Idziemy wzdłuż siebie  
po dwóch stronach lustra,  
zostawiamy w szparach karteczki  
albo puszczamy samoloty  
czasem suflujemy drugiemu  
na migi  
lustro  
bywa weneckie



ROBERT KONCA

## PRZYRODA

Trudno, co robić, ale tę opowieść musi rozpocząć idylliczny obrazek przedstawiający psy kopulujące na trawniku w popołudniowym blasku słońca. Właśnie obserwo wałem z pewnym roztargnieniem dzielne zwierzaki, pijąc piwo Smadny Mnich w ogródku Baru bez Nazwy w Starym Smokovcu, nieopodal dworca autobusowego, gdy usłyszałem wesoły okrzyk:

– Przyroda !

Podniosłem głowę. Nade mną stał, a raczej majestatycznie się chwiał z ręką wskazującą na psy, jak konferansjer na gwiazdy sceny, wysoki, chudy facet z plecakiem. Z wyraźnym upodobaniem ukazywał w szczerym uśmiechu dziurawy garnitur uzębienia. Powiedzieć, że z jego twarzą życie nie obeszło się łaskawie, to byłby krzywdzący banał. Nieogolone, acz sympatyczne oblicze nosiło, oprócz naturalnych śladów zmagania z wieloma nałogami, także kilka blizn po różnych ostrych narzędziach. Na lewym, żylastym bicepsie widniał okrągły ślad, najpewniej po kuli.

– Mogę się przysiąc, kolego ? Jestem Frantisek.

– Jasne – odpowiedziałem. – Robert – uścisnęliśmy sobie dłonie.

Franek spoważniał i obserwował mnie uważnie. Z niedowierzaniem pokiwał głową.

– To niesamowite ! Ale jesteś do niego podobny.

– Do kogo ?

– Do mojego przyjaciela, Robert miał na imię, jak ty. Masz trochę czasu? Musimy się napić – wysupłał z kieszeni jakieś drobne, może z piętnaście koron.

– Daj spokój – powstrzymałem jego gest. – Skoro jestem podobny do twojego kumpla, to ja stawiam, akurat mam wolną stówę – wyciągnąłem czerwony banknot. – On na pewno podzieliłby się z tobą. – Po chwili wahania wziął pieniądze, pochylając głowę, jakby chciał coś ukryć. Może wzruszenie ?

Po paru minutach Franek wrócił z baru z dwoma butelkami piwa w lewej dłoni i cztere-

ma kieliszkami boroviczki umieszczonymi zgrabnie między palcami prawej. Szedł pewnie i prosto, jakby nagle całkiem wytrzeźwiał. Z ciekawością zapisywa cza zdarzeń obserwowałem, czy się potknie i coś wyleje, ale nie uronił ani jednej, drogocennej kropli, choć barman nalał po brzegi, a Franek do naszego stolika miał pod górkę. Usiadł naprzeciwko mnie i wyciągnął z kieszeni zmiętą paczkę papierosów. Zapaliliśmy.

– Roberta poznałem jeszcze w szkole podstawowej, tu niedaleko, w Popradzie – pokazał ręką na południe, gdzie doskonale widoczne rozciągało się w dole o kilkanaście kilometrów stąd wspomniane miasto. – Ja byłem wtedy najślabszy w klasie, on najsilniejszy. Obaj byliśmy zamknięci w sobie, trzymaliśmy się raczej na uboczu, na marginesie szkolnego życia towarzyskiego. O ile jego nikt nie ruszał, bo się go bali, to na mnie się wyżywali. Sam wiesz : dzieci bywają okrutne. Miałem wtedy nie więcej niż dwanaście lat, gdy któregoś dnia po szkole, na boisku otoczyło mnie kilku chłopaków i zaczęli wyzywać od paralityków, bo chudy byłem strasznie, a potem przeszli na rzekome złe prowadzenie się mojej matki. Ponieważ nie reagowałem, bo w takich wypadkach nauczyłem się milczeć i myśleć o czymś przyjemnym, a w tamtym czasie myślałem głównie o dziewczynach ze starszych klas, oni wkurzyli się na całego. W sumie to im się nawet nie dziwię, no bo wyobraź sobie taką sytuację, że wyzywacie gościa od najgorszych, a on się tylko głupio uśmiecha i patrzy gdzieś w dal maślanym wzrokiem, zamiast podjąć dialog, wejść do gry i odszczekiwać się swoim prześladowcom. Moje zachowanie było po prostu bezcelne. Zaczęły się poszturchiwania, uderzenia, aż wreszcie mnie przewrócili, a ja chyba nadal się uśmiechałem, chociaż wiedziałem, że zaraz zacznie się gnanie. Ale się nie zaczęło. Zorientowałem się, że całe towarzystwo, a było ich czterech, leżało



📷 Tomasz Młynarczyk

wokół mnie klnąc i pojękując. Jeden, ten największy, nawet pochlipywał żałośnie. Usłyszałem: „Wstań” i zobaczyłem wyciągniętą rękę Roberta, która momentalnie wydzwignęła mnie do góry. Jak to zrobiłeś? – zapytałem go, patrząc na z trudem zbierających się z ziemi chłopaków. Robert uśmiechnął się lekko i odpowiedział znanym cytatem z „Wejścia Smoka”: Trenowało się. A i ty też możesz, Franek. No i następnego dnia zaprowadził mnie do Spiskiego Klubu Karate. To był początek lat osiemdziesiątych, była moda na wschodnie sztuki walki. Zaczęłem ostro trenować i okazało się, że mam do tego smykałkę, zwłaszcza, że szybko rosłem i w piętnastym roku życia miałem ponad

metr osiemdziesiąt wzrostu i długi zasięg rąk i nóg. W liceum, a razem z Robertem poszliśmy do klasy humanistycznej, już nikt mi nie podskoczył, a we dwóch z Robertem byliśmy praktycznie nie do ruszenia. No, ale napijmy się. Twoje zdrowie... Od liceum większość czasu spędzaliśmy razem. Walczyliśmy z tym samym cieniem, jakby powiedział Robert. Zdarzało się, że adorowaliśmy te same dziewczyny, ale jakoś nie było zazdrości. No, może czasem na sparingach jeden drugiego mocniej uderzył czy zablokował, ale tak po przyjacielsku, bez złej krwi, jeśli wiesz, o czym ja mówię...

- Sparingi z przyjaciółmi nie są mi obce – odparłem i patrzyłem, jak promienie słońca ślizgają się po kryształowym kieliszku, powodując wzajemne oddziaływanie rozszczepionego światła i mojego umysłu. Przez chwilę zdawało mi się, że otwiera się tam brama do czasu przeszłego albo do innego świata, do życia Roberta, i że to wszystko jest mi niepokojąco bliskie.
- Ale preferuję raczej sztukę walki bez walki, Franku.
- On też to mówił! Cholera, nawet gadasz jak on.
- Tak mówił Bruce. Wszyscy to powtarzamy, jak mantrę. To paradoks: ćwiczyć całe życie po to, aby móc w pełni świadomie unikać walki. A kiedy już trzeba się bić, to walka odbywa się na innym poziomie istnienia, poza kimonem materii, w świecie subatomowym; jest tańcem derwisza, medytacją. A tu, w tak zwanej rzeczywistości, możemy jedynie zobaczyć rezultat tej walki: własne, pokiereszowane ciało leżące na ziemi, albo nieruchome ciało przeciwnika u naszych stóp. Tak samo jest z poezją, z każdą ze sztuk; widzimy tylko dzieło, a proces tworzenia jest tajemnicą nawet dla twórcy...
- Robert mógł o tym opowiadać bez przerwy – Franek coraz bardziej kiwał głową ze zdumienia i nerwowo zapalił papierosa. – Robert, ty naprawdę jesteś Robertem! – zawołał, jakby właśnie odkrył nowe prawo fizyki.
- Tak – rzekłem zamyślony. – Robert jest Robertem, a w każdym razie powinien



- nim być. Ale przecież wiesz, że to tylko przypadkowa zbieżność imion, wyglądu zewnętrznego i niektórych cech czy upodobań. To jak z płatkami śniegu. Przyroda, po prostu.
- No tak – posmutniał Franek. – Ale płatki śniegu nie używają tych samych zdań. Ale co ty, do diabła, z tym śniegiem w środku lata? To zresztą też macie wspólne : nieoczekiwane skojarzenia. Zdrowie Roberta... Ja walczyłem wiele razy, ale nigdy nie doświadczyłem tego, o czym mówiliście, tych innych poziomów. A ty, miałeś taką walkę ?
  - Tylko raz, parę lat temu, tu u was zresztą, na Słowacji. Walczyłem z niejakim Luba, w formule K 1, można powiedzieć. On był kickbokserem, chwalił się, że jednym z lepszych w kraju. Rzeczywiście, był szybki, świetna technika użytkowa, trochę niższy ode mnie, ale ja wtedy miałem przerwę w treningach, piłem, podróżowałem.
  - Słyszałem o nim – powiedział Franek. – Dobrze się zapowiadał, ale potem został gangsterem i podobno ktoś go odstrzelił. Ale jak było, wygrałeś ?
  - Wygrałem. Ale czy to byłem ja ? Nie wiem. To był mat w trzech ruchach, w trzech uderzeniach, które najpierw się objawiły z tak fatalnym skutkiem dla Luby, a dopiero później o nich pomyślałem. Skutek nastąpił, zanim pojawił się zamysł; wyprzedził przyczynę. Miałem wrażenie, jakby dla mnie czas się zatrzymał, a nawet wykonał skok w przeszłość. Szybki Luba był dla mnie za wolny; nie potrafił wyprzedzić czasu, rozpaczliwie trzymał się teraźniejszości; jak to się mówi: chciał być na czasie. A ja miałem przeświadczenie, że mógłbym w międzyczasie wypić kufel piwa, napisać sonet, a tam, na naszym prowizorycznym ringu, nie minęłaby nawet sekunda. Z zewnątrz wyglądało to pewnie zwyczajnie: ot, jeden jest o ułamek sekundy szybszy od drugiego szybkiego. Być może właśnie ten jeden raz dotknąłem tajemnicy sztuki walki. A twój kolega też miał pewnie takie doświadczenia ?
  - Tak, widziałem zresztą jego walkę. Byliśmy wtedy w Jugosławii, chyba w Mostarze albo w innej Banja Luce. Nie pamiętam,

dużo się piło wtedy, teraz zresztą też. Po liceum nie chcieli nam się studiować. Komuna się skończyła, a my szukaliśmy wrażeń. Poszliśmy do wojska, do komandosów. Robert szybko został instruktorem sztuk walki w naszej jednostce. Jak wybuchła wojna w Jugosławii, od razu zgłosiliśmy się do sił rozjemczych. Tam była zbieranina z całego świata, wasi z Polski też. Często byliśmy między młotem a kowadłem, między Chorwatami a Serbami; strzelali nie tylko nad naszymi głowami z dwóch stron. Raz na patrolu mnie postrzelili – pokazał bliznę na ramieniu. – Pewnie by mnie załatwili na amen, gdyby Robert nie osłonił mnie własnym ciałem. Kule waliły tuż obok, ale jego nie trafili. Robert zawsze miał szczęście. Raz, po pijańku, spacerował ponoć aleją snajperów w Sarajewie i nikt go nawet nie drasnął. Był jakby niewidzialny, przezroczysty. No, ale miałem mówić o tej walce. Niedaleko z nas stacjonowali Rosjanie i jak się dowiedzieli, że u nas jest taki kozak, czyli Robert, to zaraz postanowili wystawić swojego najlepszego przeciwko naszemu. Któregoś wieczoru przy większej rakiji strony wspólnie ustaliły zasady walki, to znaczy, że nie będzie żadnych zasad. Termin pojedynku wyznaczono na następny dzień, a raczej noc. W świetle wojskowych reflektorów stanęli naprzeciwko siebie Robert i ten Ruski. Robert to nie był ułamek, ponad metr osiemdziesiąt, jak ty, ale ten Rusek miał prawie dwa metry wzrostu i mięśnie jak ten wasz Pudzian. Był mistrzem sambo. Patrzyłem na Roberta, czy nie zwątpił, ale on tylko taksował wzrokiem przeciwnika i kiwał głową z szacunkiem. Odśpiewano hymny i nasz dowódca, kapitan Ivanec, nieco podchmielony, w wielkiej zielonej czapicy z czasów drugiej wojny światowej (pewnie zwędził ją z jakiegoś tutejszego muzeum trafionego przez bombę), dał sygnał do walki, uderzając bagnetem w pustą butelkę. Ruski od razu wyprowadził potężną, szybką obrotówkę, ale za wysoko mierzył, jego stopa o centymetry minęła głowę Roberta, bo ten skłonił się lekko jak aktor przed spektaklem, albo po. Ruski postanowił więc poszukać szczęścia le-



📷 Paweł Żochowski

- wym prostym, ale nie zdążył, bo wcześniej potworny low kick w wykroczną nogę, którego Robert nauczył się od jednego znajomego Taja, sprawił, że mistrz sambo zachwiał się jak chochoł na wietrze, a wtedy otrzymał w darze precyzyjne jak matematyka kopnięcie w okolice ucha, w błędnik, padł i było po walce. Podobno długo jeszcze nie mógł odzyskać równowagi, i to nie tylko w sensie dosłownym. Kiedy spytałem Roberta, jak to zrobił, odpowiedział: Nie wiem. Jak ta wasza Szyborska, gdy odbierała Literacką Nagrodę Nobla.
- No widzisz, Franku, sztuka to sztuka. Sztuka walki też zasługuje na swój Parnas. Twoje zdrowie!
  - Wypiliśmy po kielichu. I wtedy usłyszeliśmy głos, a monstrialny cień kobiety rzucił się na nasz stolik:
  - Frantisek! Znowu pijesz! Trzy dni już chodzi pijany - zwróciła się do mnie, jakby biorąc mnie sobie na świadka. - Chodź, łajzo, do domu. Pomieszkaaj trochę ze mną, ty włóczykiju!
  - Przecież to Robert, Marto, nie widzisz? - powiedział cicho Franek.
  - W imię Matki i Syna... - dziwnymi ruchami przeżegnała się Marta, wytrzeszczając na mnie swoje piękne, czarne oczy. - Rzeczywiście... Myślałam, Robert, że... - otarła pot z czoła i spojrzała na południe. - Franek, lepiej wracaj do domu - odwróciła się, żeby mnie nie widzieć. - Mówię ci, wracaj, kupię po drodze wino i parę piw, ale wracaj.
  - Idź, kochanie, do domu. Ja niedługo przyjdę. - odrzekł cicho Franek. Marta poszła.
  - Żona?
  - Nie. Przyjaciółka, fraierka po słowacku. Dobra kobieta, chociaż cyganka. - Franek pociągnął ostatni łyk piwa. - Miałem kiedyś żonę. Rok wytrzymała. Jak byłem w Jugosławii, odeszła do innego. Do sąsiada, znaczy się. Bardzo porządny człowiek

zresztą, kolejarz. Co robić, przyroda. Mnie przecież nie było. A kobita swoje potrzeby ma. Jak się dowiedziałem, miałem żal. Piłem trzy dni w lesie pod Lendakiem i myślałem, co zrobię temu sąsiadowi. Wyświetlałem sobie w głowie obrazy jak na DVD, takie filmy, jak masakruję gościa długo i dokładnie. Ściskając w rękę butelkę wyobrażałem sobie mordercze dźwignie, które zakładam biednemu kolejarzowi na ręce i nogi. Następnego dnia wróciłem do domu, wytrzeźwiałem i odświeżyłem. Wychodzę na podwórko, żeby zrobić porządek z sąsiadem, a tu przy furtce stoi Robert, jakby na mnie czekał. Pyta z niewinną miną: Dokąd to, Franku? Idę wykończyć tego skurwysyna, co mi żonę zbajerował, jak byliśmy w Jugosławii. A słyszałeś o miłości? – zapytał Robert. Ja ją kocham! – krzyknąłem. Ją, czy siebie – zapytał. – Bo jeżeli ją, to dlaczego nie pozwalasz jej robić tego, co uważa za słuszne. Ona przecież nie musi cię kochać, nie po to przyszła na ten świat. Może ona kocha tego twojego sąsiada i dlatego z nim jest. Tak naprawdę

kochasz siebie, Franku, siebie i relacje, które sobie wyobraziłeś, relacje łączące ciebie i żonę tak długo, jak tobie się będzie podobało... Zrozumiałem, że miał rację. Kupiłem kwiaty, flaszkę i poszedłem do sąsiada. Pogadaliśmy serdecznie, wyjaśniliśmy wszystko. Poczułem ulgę. A po roku ten kolejarz przychodzi do mnie zapłakany, z litrem borowiczki i mówi: Odeszła ode mnie! A ja mu na to: Co robić, bracie, przyroda...

– No dobrze, Franek, ale co z twoim kumplem? Chętnie bym go poznał. Może wpadniemy do niego na kielicha?

Franek popatrzył na mnie w milczeniu. Wreszcie sięgnął do starego, wojskowego plecaka i wyciągnął butelkę wina owocowego marki WTF (Wiosna Teatrów Fantazji, a może What The Fuck?).

– Po Jugosławii - zaczął, zdejmując nakrętkę z butelki niczym zawleczkę granatu przeciwpancernego - już nie nadawałem się do wojska. Po postrzale miałem niedowład ręki i wojsko przyznało mi rentę. Żona odeszła do tego kolejarza, potem



odeszła od niego, gdzieś wyjechała i straciłem ją z oczu. Zacząłem cenić spokój, już mnie nie ciągnęło w świat. Trochę piłem, na wino zawsze starczy. Siedziałem całymi godzinami w lesie i patrzyłem na zwierzęta, drzewa, góry i czasem odczuwałem chyba coś na kształt szczęścia. A Robert jak zwykle miał farta. Dali mu awans, szkolił najlepsze jednostki wojska i policji w tej swojej sztuce walki bez walki. Rzadziej się widywaliśmy, ale jak już przyszedł, to było jak dawniej: piliśmy, on pokazywał mi nowe uderzenia i dźwignie, poparte przezrzutniami z wierszy, które czasami pisywał. Po 11 września coraz częściej i na dłużej wyjeżdżał, Irak, Afganistan, Syria, tego typu wycieczki krajoznawcze. Dwa lata temu przysłał mi esemesa: „Wylatuję dziś z Bagdadu ze zmianą naszego kontyngentu. Wracam na dobre. Szukuj boro-wiczkę i owczy ser. I zamelduj kapitanowi Ivanec, że mam dla niego przepiękną czapicę, zdobyczną, od taliba”. Następnego dnia właśnie kończyłem przygotowywać przyjęcie, a nie żałowałem renty, możesz mi wierzyć, gdy przez radio podano wiadomość, że samolot z naszym kontyngentem wracającym z Iraku, z niewyjaśnionych przyczyn runął na ziemię na północy Węgier. Wszyscy zginęli. Do naszego lotniska w Koszycach mieli niecałe czterdzieści kilometrów... – Franek umilkł i pociągnął łyk wina z butelki.

– Napij się – powiedział – jeżeli się mnie nie brzydzisz.

– No co ty – wziąłem butelkę. – Pewnie, że się nie brzydzę. Przyroda...

Obaj uśmiechnęliśmy się, ale przez łzy.

– Tydzień później odwiedził mnie kapitan Ivanec. Byłem, Franku – mówi – na miejscu katastrofy. Tylko to po Robertcie zostało – pokazał na wspaniałą, olbrzymią czapicę, która, zupełnie nie naruszona, była na kapitana za duża i spadała mu na oczy. Talib musiał być słusznej postury i miał łeb jak sklep dyskontowy. I jeszcze coś znalazłem – mówi kapitan, wychylając duszkiem szklanę boro. – Wisiorek, on go nosił, weź go na pamiątkę – Franek wyciągnął spod koszulki srebrny wisiorek OM.

– Noszę taki sam – powiedziałem czując, że święty znak OM płonie w okolicach mego serca. Przypomni mi się powracający sen, w którym przez okno spadającego samolotu widzę w dali góry południowej Słowacji, zielone wzgórza wulkanicznego Zemplinu, a potem już tylko cichą ciemność.

Robert, co z tobą? Gdzie znowu znikasz...

\*

Gdybym ja to wiedział, Franku... Jak każdy – pojawia się niespodzianie i tak samo znikam, w świecie, gdzie wszystko przemija; ludzie spotykają się, przyjaźnią, kochają i walczą, by nagle doświadczyć nieuchronnego poczucia straty. Jak sam mówisz: przyroda. Ale zdążę jeszcze zobaczyć, jak odchodzisz przygarbiony i smutny, popijając wino, które z trudem przedostaje się przez ściśnięte gardło. I nie usłyszysz wierszy pocieszenia, choć kiedyś pewnie do ciebie przyjdą, przemienione w dobry sen, w tchnienie bezkresnej przestrzeni albo dziwnie intensywne wspomnienie o przyjacielu. I znowu na chwilę twój świat pojaśnieje.

Na stole, w pustych kryształowych kieliszkach, tańczyły promienie słońca. Pod laserowym spojrzeniem demiurga powstawały tam i znikaly całe wszechświaty. Wzajemne relacje między istotami bujnie rozkwitały, by w jednej nanosekundzie zmienić się w proch.

\*

Wstań i walcz, mój bohaterze, mój pijany mistrzu! – powiedziała niskim, zmysłowym głosem Cyganka Marta, pochylając się nad nim z obnażonymi piersiami, jak Wielka Bogini nad Młodym Bogiem.

– Przyroda... – wymamrotał Franek i uśmiech rozjaśnił jego pokrytą bliznami twarz.







JAN PIOSKOWIK

## Grafomańska Piosnka Ponurej Cyklistki

Powiem w tajemnicy, tylko nic nikomu,  
 miałam jeździć na koniu, ponurym wierzchowcu  
 o spojrzeniu jak kwiat ostu, (albo krew)  
 Ale (i teraz ciii...) Pan Bóg pozwolił mi na rower, z przerzutkami,  
 zamiast płonącego rydwanu, czy sań z reniferami.

ref.

Kręci się koło, koło,  
 Z rowerem Śmierci wesoło, wesoło,  
 Wiatr gra między piszczelami,  
 do was jadę kochani! Hej!

Kiedyś tańczyłam z ludźmi co „Dance Macabre” wołali,  
 ja hyc! za ręce a oni smęty, litości! litości! litości! (bo skonam)  
 krzyk, lament, zupełnie chachy nie kumali,  
 a w kole zrobił się zamęt. (o żesz to! Buraki!)

ref.

Kręci się koło, koło,  
 Z rowerem Śmierci wesoło, wesoło,  
 Wiatr gra między piszczelami,  
 do was jadę kochani! Hej!

Mam jeszcze jedną tajemnicę, (tu też proszę o dyskrecję)  
 żył (heh) raz chłopaczkę z włosami w kolorze lukrecji,  
 oczy miał czekoladowe, a z budzi pyza.  
 Gdym go wiozła na bagażniku, -patrz – mówi - tutaj w ryzach,  
 mama mnie trzymała, a teraz dorosła płacze?  
 Tajemnica? Zmarły śmierć widzi inaczej. Hej!

ref.

Kręci się koło, koło,  
 Z rowerem Śmierci wesoło, wesoło,  
 Wiatr gra między piszczelami,  
 do was jadę kochani! Hej!

Odkąd Bóg sprawił mi rower (z przerzutkami)  
 w pracy jest mi łatwiej. Jeżdżę, tu i tam godzinami,  
 Jeden tylko feler jak woda, co z kranu kapie,  
 Ta zardzewiała kosa mnie po karku drapie.



OSKAR SZWABOWSKI

## BIURO WSPIERANIA PISARZY

M. Z. wstał jak zwykle koło południa. Kiedy już głód nie dawał przedłużyć tymczasowej niebytności w świecie. Obudził się, jak wiele dni wcześniej, bez entuzjazmu. Chwilę stał opierając się o otwarte drzwi lodówki. Kostka sera i dwa jajka. Chleb chyba jest. Jedno jajko na śniadanie, drugie na obiad a ser, z chlebem może, na kolację. Jutro się pomyśli, co nieco zostało grosza jeszcze, może sprzeda książkę. Nie swoją, o nie, nowe wydanie Hegla co kiedyś dostał w prezencie. Hegel powinien załatwić z dwa obiady. Przeżuwać wolno sadzone jajko wpatrywał się w migocący ekran komputera. Tekst, ten jeden tekst, modlił się, tekst daj mi, Panie, jeden marny tekst, co się sprzeda, i da nadzieję na możliwość napisania kolejnego. Tekst daj mi, Panie, co lodówkę napełni. Ten jeden tekst daj mi, kochanie... Delikatnie musnął klawiatury. Nic. Biała strona, migoczący kursor. Codziennosc. Popił jajko przegotowaną wodą. Na razie nie jest tak źle, pomyślał wbrew sobie. Przecież to nie jest tak, że nie mam nic do powiedzenia. Przecież to nie jest tak, że nie mam talentu. Pani od polskiego w szkole zawsze mnie chwaliła. Znała się przecież. A że teraz wszystko co napisałem, zapełnia jedynie szufladę

Może mój czas jeszcze nie nadszedł.

Może Pukanie do drzwi wyrwało M. Z. z krainy spekulacji. Poprawiając wymiętą podkoszulkę przeszedł przez zagracony pokój. Nie spodziewał się nikogo. Od dawna towarzystwa dotrzymywał my jedynie cień i odbicie w lustrze. Przez wizjer dostrzegł przypominającego komornika mężczyznę w średnim wieku, w garniturku urzędnika średniego stopnia i frajerską fryzurką człowieka nie pogodzonego ze starzeniem. Za szczupłym, niskim przedstawicielem paragrafów i ustaw stało dwóch rosyłych facetów, takich co to są wprawni w łamaniu palców, rąk, nóg, za kilka złotych podbiją oko i wyjaśnią co i jak przy pomocy dłoni jak młoty. Doskonałe uzupełnienie sił urzędniczych. Za paragrafem idzie interpretacja. W tym przypadku karki nie dzierżyły kijów, a dźwigały na barkach czarny, spory worek, wypełniony czymś co raczej lekkim nie było.

- Panie M. Z. proszę odtworzyć. Wiem, że pan tam jest - urzędnik miał głos typowego formalisty. M. Z. zastanowił się czy zapłacił wszystkie rachunki. Poza telefonią komórkową był czysty. Nie chciał tracić wody, prądu, ani tym bardziej dachu nad głową. Póki posiadał te dobroci cywilizacji, mógł mieć nadzieje. Nie było tak źle, mogło być zawsze gorzej. Może walnął się w papierach gdzieś, może
- Proszę się nie obawiać, jesteśmy tu by panu pomóc - dobiegło zza drzwi.- Jesteśmy z Biura Wspierania Pisarzy.

– Że coo...?!

M. Z. otworzył drzwi. Urzędnik uśmiechnął się zawodowo. Mechanicznie wyciągnięta dłoń. I już pakuje się do środka, a za nim dwóch sapiących drabów dźwigających wielki, czarny worek. – Trochę się spóźniłiśmy. Wszystko przez te korki. Czasami mam wrażenie, że szybciej by się przeszło na piechotę. No ale cóż, stało się. Połóżcie to na razie na ziemi, tak jak jest - zwrócił



📷 Grażyna Hankiewicz

- się do karków. - Nie wiem czy pan słyszał, o nowym planie rządu. Otóż w ramach rachunku sumienia, nowa koalicja, postanowiła zająć się ciężkim losem rodzimych twórców. - Zaproponowałbym coś państwu do picia, ale poza przygotowaną wodą nie mam nic.
- Nie szkodzi. Nie pijemy na służbie. Poza tym musimy wypełnić plan na dziś, jeszcze dwa mieszkania trzeba odwiedzić. A wracając, to władza dostrzegła, że wielu rodzimych twórców nie radzi sobie z wymogami wolnego rynku, są zagubieni niczym dzieci. Zbyt szybko nastąpiło wrzucenie ich, w tym pana, na głębokie i ciepłe wody konkurencji. Nie byliśmy przygotowani, pan nie był przygotowany... Więc widząc w jaką nędzę wielu młodych, a obiecujących twórców wpadło, rząd postanowił ulżyć trochę ich doli. Nagiać zasady i pomóc swoim. W końcu pan też płaci podatki. Z. M. spojrział na czarny worek w którym mógłby się zmieścić dorosły człowiek. Nerwowo potarł czoło. - To miło ze strony... hm, rządu, że zrozumiał moją trudną sytuację - nie mógł znaleźć słów.- Wody konkurencji, głębokie otchłanie wolnego rynku, są może i miłe, dla tych, co pływać potrafią, co posiadają jachty, statki, co nie toną, a nie kłodę drewna. To, wie pan, jest jak z biedą. Szlachetnie wygląda na stronach dzieł, gdy się jej doświadcza... to nic w niej poezji nie ma. Jedynie majaczenia, gdy głód za długo doskwiera.
- Urzędnik poprawił nerwowo marynarkę.
- Nasz rząd jest postępowy. Nie prowadzi za rączkę, ale daje inspiracje. Nie możemy państwa trzymać w brodziku, jak dzieci, bo to źle służy rozwojowi osobowości. Ogranicza pana wolność, a nasz rząd, jak pan wie, kocha wolność. Bez wolności nie ma nic. Dobrze, ja będę szedł. Trochę się spóźniliśmy, mieliśmy włamać się jak pan spał. Wszystko przez korki. Wypakujcie i idziemy.
- Osilki rozpięły czarny worek. Z. M. pomyślał, że może wreszcie się naje. Cokolwiek wolałby żywą gotówkę, ale co tam. Nie będzie marudził. Z czarnego worka wysunęło się bezwładne ciało. Jeden z karków spokojnie związał czarny worek, podczas gdy drugi poprawiał dłoń leżące na ziemi mężczyzny.
- Co... co to, do... do cholery?
- Trup - mruknął jeden z tragarzy.
- Jak to trup?! Po co mi trup?! Mam go zjeść?
- Nie robiłbym tego - odezwał się urzędnik. - Nie jesteśmy pewni świeżości denata. Wprawdzie nie śmierdzi, ale ja nie wiem, jaki jest termin spożycia martwego ciała ludzkiego. - Ale... ale... - Bez trupa ani rusz. Trup jest dobrym początkiem każdej opowieści. Opowieść, gdzie występuje trup, może się sprzedać.
- Żartujecie?
- Przy trupie? Nigdy - odparł jeden z osilków.
- Nie czas na żarty, gdy człek martwy - dodał drugi. - Jesteśmy dodatkiem, bonusem, w przypadku spóźnienia czy innej awarii. Proszę zapamiętać nasze powiedzonka, gdyż według badań mają sporą szansę stać się zwrotami obiegowymi, jak na przykład: Jeszcze tu wrócę. To z Terminatora.
- Bonusem?
- Dwóch osilków ubrało czarne meloniki i wymachując laseczką zaczęło recytować:
- Nie masz pomysłu, akcji nie czaisz? Nie martw się ziomek, my ci akcję damy.
- Brak ci polotu, chwytliwych tekstów?
- Wsluchaj się w głos nasz, w nasze zwroty.
- Już z czytelnikami nie będziesz się stresował. Z. M. przetarł nerwowo twarz dłonią.
- Chyba, chyba... coś nieświeżego zjadłem. Przepraszam, ale zabierajcie to... tego denata, trupa i... i zostawcie mnie w spokoju. -
- Heh, co wy słowolepcy wiecie o trupach.
- Nie czaisz ziomek zasad. Wasza pisanina marna, bo ani akcji, ani seksu, ani trupa. To ci trupa dajemy. Bieź go i całuj nas w dłoń, a nie marudź.
- Tak, marudny naród...
- Zdjęli meloniki i schowali laseczki. Na ich obliczach malowało się zniesmaczenie.
- Proszę się nie stresować. Wiem, trochę zawaliliśmy sprawę - urzędnik objął M. Z. - Miał pan zobaczyć trupa zaraz po przebudzeniu. Wywołałoby to u pana impuls twórczy, a że trup ten impuls wyzwoliłby, to dzieło byłoby spod jego znaku. Znaczący możliwe, że by się sprzedało. Na tym pole-

ga rządowy program. Jesteśmy inspiracją ukierunkowaną rynkowo. Z. M. opadł na łóżko. Tępo wpatrywał się w denata. – Wiem, to szok. Za chwilę pan wszystko zrozumie. Życzymy powodzenia i mam nadzieję, że pan nas nie zawiedzie. Nie wie pan, ile kosztuje taka impreza. – To też mam zapamiętać?

Nikt jednak nie odpowiedział. Został sam. Nie licząc trupa. No tak, pomyślał, nauka pływania. Popłyniemy na denacie, przez morza i oceany, do ziemi obiecanej. Szkoda, że nie zapakowali cię do lodówki - mruknął wstając.



TADEUSZ IRA-ŚLIWA

## Relatywizm

- Czas  
rozrywa

Nasze  
krwinki

(Tak zwany  
czas

Takie sobie  
podarki)

Na obłoku

Życie  
po życiu

plus konto  
minus

wszystko  
wypłynie

## Bezokoliczniki

Nie zabierać  
głosu -

Notować  
na boku

Nie dać się

wciągnąć

## Nic nie ginie

Twoje szkoły  
życia konto

- Na błękitnej  
stronie

Internetu  
Boga

## Wolność

Rozluźnij kołnierzyk wiersza  
nie bój się długich wersów  
- życie składa się z treści  
(nawet forma ma serce)

## Akcja i reakcja

- Niech żyje  
wolność!  
- Wolno...  
wolniej  
- Dlaczego?  
- Wietrzymy  
pokój